Numer dzisiejszy zawiera 8 stron.

Należność pocztowa opłacona ryczałtem.

Wilno, Sobota 19 Kwietnia 1930 r.

Cena 20 groszy.

KURJER WILEŃSKI

Rok VII. NIEZALEŻNY ORGAN DEMOKRATYCZNY Nr. 92 (1734)

Min. Matuszewski o kryzysie gospodarczym w Polsce.

KRAKÓW, 18.IV. (Pat). „Ilustrowany Kurjer Codzienny“ w numerze świątecznym zamieszcza rozmowę warszawskiego sprawozdawcy politycznego tego dziennika z p. ministrem skarbu Matuszewskim.

W wywiadzie tym p. minister Matuszewski przedstawia przyczyny obecnego kryzysu i wskazuje jako środki konieczność kapitalizacji wewnętrznej i zastosowania oszczędności, Następnie, przedstawiając stan rezerw kasowych i oszczędności budżetowych, uważa, że nie należy naruszać rezerw, gdyż równowaga bzudżetowa w przeciwieństwie do kryzysu z roku 1925 jest zapewniona. Bolesny proces — mówił p. minister — jaki przechodzi dziś cały świat, jest procesem rewaloryzacji złota. Przy rewaloryzacji złota, rzecz prosta, roln. odczuwa skutki tego procesu najboleśniej.

Na pytanie, dlaczego w Polsce kryzys jest odczuwany boleśniej, niż gdzieindziej, p. minister odpowiada, że rezerwy, jakiemi rozporządza nasz organizm państwowy i kapitał prywatny, są stosunkowo szczuplejsze, niż gdzieindziej. Jednakże poprawy sytuacji należy się spodziewać już w ciągu miesięcy letnich bez konieczności uciekania się do rezerw kasowych. Co się tyczy pożyczek zagranicznych, to ofert nie brakuje i pertraktacje ciągle się toczą, jak np., pertraktacje o pożyczkę w związku z przedłużeniem dzierżawy monopolu zapałczanego, ale pożyczkę przyjmiemy tylko taką, która odpowie warunkom stawianym przez interes państwa. Wobec spodziewanej zmiany sytuacji dopływ kredytów, wstrzymany w połowie 1928 roku, rozpocznie się znowu niebawem.

Objawy poprawy sytuacji gospodarczej.

Telefonem od własnego korespondenta z Warszawy.

Bank Gospodarstwa Krajowego wydał komunikat, który ogłasza co miesiąc o sytuacji w poszczególnych gałęziach gospodarczych Polski. W ub. miesiącu marcu gospodarka narodowa Polski wkroczyła w okres przednówkowy, który jest zwykle połączony z ogólnem napięciem sytuacji ekonomicznej.

W sytuacji gospodarczej Polski zaczęły jednak występować pewne objawy poprawy.

Na rynku pieniężnym nastąpił dalszy wzrost płynności gotówkowej, będący wynikiem zwiększenia się obrotów gospodarczych. Sytuacja banków była w dalszym ciągu korzystna. Przypływ kredytów krótkoterminowych zagranicznych do naszych banków trwał nadal. Również korzystna była sytuacja instytucyj oszczędnościowych, w których postępował dalszy wzrost wkładów.

Trwająca od dłuższego czasu zniżka cen ziemiopłodów, na początku marca uległa zahamowaniu, ustępując miejsca tendencji zwyżkowej. Poprawa cen zboża winna odbić się korzystnie na położeniu rolnictwa, które wobec rozpoczęcia robót wiosennych odczuwało bardzo silny brak środków obrotowych.

Zbyt węgla w kraju, nieco większy niż w miesiącu lutym, nie zdołał jednak wyrównać ubytku w eksporcie, co spowodowało dalsze ograniczenie wydobycia kopalnianego.

W górnictwie naftowem nastąpił dalszy spadek wydobycia ropy.

Dzięki zwiększeniu się eksportu wyrobów żelaznych w ostatnich tygodniach marca głównie do Rosji, wytwórczość hut żelaznych wzrosła,

Niekorzystny stan zatrudnienia w fabrykach włókienniczych uległ poprawie. Zastój panował nadal w przemyśle metalowo maszynowym, drzewnym, ceramicznym, garbarskim.

W handlu nastąpiło sezonowe ożywienie obrotów, które jednak nie dorównały obrotom w marcu roku ub.

W związku z rozpoczęciem prac sezonowych liczba bezrobotnych od końca marca wykazuje spadek.

WIADOMOŚCI z KOWNA

PREMJER LITEWSKI O SZWEDZKIEJ POŻYCZCE.

Dnia 17 b. m. litewski Prezes Ministrów i Minister Skarbu J. Tubelis udzielił korespondentowi „Elty“ wywiadu w sprawie nowozawartej umowy ze szwedzkim trustem zapałczanym.

Minister zauważył na wstępie, iż warunki, na jakich uzyskano pożyczkę odpowiadają obecnej konjunkturze międzynarodowej.

Pozatem. obok pożyczki umowa przysparza Litwie jeszcze 2 cenne rzeczy: zwiększenie podatku od akcyzy i fabryki papieru.

— W Litwie czynnych jest 5 fabryk zapałek, które wytwarzały rocznie średnio 65 miljonów pudełek zapałek.

Eksport zapałek był nieznaczny i warunki jego stawały się coraz trudniejsze. Naogół, w ostatnich latach, stan przemysłu zapałczanego był ciężki z racji nadprodukcji i konkurencji. To też przemysł zapałczany w takim stanie, w jaki popadł, nie mógłby długo istnieć.

Przemysł zapałczany, skoncentrowany w jednem silnem przedsiębiorstwie, niewątpliwie, będzie można racjonalniej uporządkować, niż gdy jest on rozstrzelony w paru konkurujących z sobą przedsiębiorstwach. Interesy kapitałów prywatnych również na tem nie ucierpiały. Trust szwedzki wykupi przedsiębiorstwa zapałczane po cenie faktycznej ich wartości.

Pożyczka szwedzka zostanie użyta na cele długoterminowego kredytu, którego brak w Litwie dawał się dotkliwie we znaki. Zwłaszcza dla przemysłu rolnego i dla akcji budowlanej długoterminowy kredyt jest rzeczą niezbędną. Rozwój przemysłu fabrycznego również nie jest bez niego do pomyślenia. To też uzyskaną obecnie pożyczkę rząd uchwalił zużyć bezpośrednio na popieranie tych trzech zasadniczych gałęzi gospodarki krajowej, co niewątpliwie wpłynie dodatnio i na całe życie gospodarcze kraju.

Pożyczka została zaciągnięta jedynie dlatego, iż uzyskano ją na dogodnych warunkach. Na zwykłe potrzeby kraju rząd miał dostateczne środki, uzyskane dzięki polityce oszczędnościowej.

Co do pogłosek o założeniu banku hipotecznego, rząd tymczasem o tem nie myśli, gdyż pociągnęłoby to za sobą zbyteczne wydatki. Długoterminowe operacje kredytowe zostaną powierzone Bankowi Rolnemu.

W ten sposób rząd spodziewa się, iż 60 milj. lit., które wpłyną do kraju, nie wywołają żadnej inflancji, lecz przeciwnie udzielą większego impulsu do gospodarczego rozwoju kraju.

EKSMISJA B. DYKTATORA.

Według informacyj „Rytasa“, władze litewskie wyznaczyły b. dyktatorowi Woldemarasowi termin eksmisji z lokalu Banku Litewskiego. Termin upływa z dniem 23 bm.

Burzyciele spokoju publicznego nie próżnują.

Krwawe zajście w Zawierciu.

KIELCE, 18.IV. (Pat). Żywsza w ostatnich dniach agitacja antypaństwowa i antyrządowa wśród bezrobotnych stała się powodem zajścia, jakie miało miejsce dzisiaj w Zawierciu.

Zajście to miało przebieg następujący: Magistrat miasta, prowadzący akcję pomocy dla bezrobotnych z funduszów państwowych wyznaczył na ten dzień wypłatę zasiłków. Nie czekając na rozpoczęcie wypłat, kilkuset bezrobotnych, zgromadzonych przed magistratem, wtargnęło siłą do biura magistratu tak, że zaszła konieczność wypierania tłumu przez policję. W czasie starcia rannych zostało 3-ch policjantów, jeden z nich kulą rewolwerową Z pośród demonstrantów zgłosiło się do wieczora 4 poszkodowanych robotników do ambulatorjum. Wieczorem zapanował w Zawierciu zupełny spokój.

Zderzenie pociągów.

BUENOS-AIRES, 18.IV. (Pat). W prowincji Kordoba nastąpiło zderzenie pociągu osobowego z towarowym, przyczem jedna osoba poniosła śmierć.

Wybuch gazów.

CHARLEROI, 18.IV. (Pat). W jednej z okolicznych kopalń nastąpił wybuch gazów. 5 osób odniosło rany.

List otwarty ks. Biskupa Łozińskiego.

J. E. Ks. Biskup Zygmunt Łoziński, ordynarjusz djecezji Pińskiej, wystosował list otwarty do korpusu oficerskiego w Pińsku. List jest datowany 23 marca i ukazał się najpierw w „Wiadomościach djecezjalnych pińskich".

Nie zwykliśmy omawiać na łamach naszego pisma enuncjacyj wysokich dostojników Kościoła, skierowanych do ogółu lub do pewnych części wiernych, podlegających ich kanonicznej jurysdykcji i w ramach tej jurysdykcji utrzymanych. Nie jest zadaniem dziennika politycznego wkraczanie w sferę wiary i dyskutowanie kwestyj, stanowiących wykładnię dogmatów i przepisów tego czy innego Kościoła.

List otwarty ks. Biskupa Łozińskiego nie należy jednak do tej normalnej kategorji enuncjacyj kościelnych. Obszerna jego treść zawiera w ramach ogólnych pouczeń pasterskich—szereg uwag o wybitnie politycznem znaczeniu. Jeżeliby co do tego ktokolwiek miał jakieś wątpliwości — przekonać go musi ten fakt charakterystyczny, że list został skwapliwie przedrukowany *in extenso* przez całą prasę narodowo-demokratyczną od „Gazety Warszawskiej" do „Dziennika Wileńskiego". Przedrukowany został przez tę właśnie prasę *wyłącznie*. Czy dlatego może, że mianując się katolicką, udziela ona wogóle szpalt swoich wszelkim enuncjacjom kościelnym? Bynajmniej. Znajdujemy w niej z reguły tylko to z tej dziedziny. co w treści swej odpowiada politycznym tendencjom obozu „narodowego", starannie natomiast bywa tam pomijane wszystko, co w polityce kościelnej nie pokrywa się z ideologją nacjonalizmu.

List ks. Biskupa Łozińskiego dotyczy kwestyj znacznie bardziej politycznie aktualnych, niż ogólne rozbieżności ideologiczne, dla których niezawodnie dzienniki „narodowe" w obecnej chwili nie poświęciłyby tyle miejsca. Wykorzystywanie autorytetu Kościoła i wygrywanie katolickich uczuć społeczeństwa—to są podstawowe, stare i wypróbowane metody polityki narodowo-demokratycznej.

Ks. Biskup Łoziński poświęcił swój list wyjaśnieniom dlaczego w czasie uroczystego nabożeństwa w dn. 19 marca r. b. poruszył w swem przemówieniu sprawę imienin Marszałka Piłsudskiego w taki sposób, który, wbrew jego oczekiwaniu, dotknął bardzo niemile miejscowe sfery wojskowe, a zapewne, choć o tem autor nie mówi, również i miejscowe sfery społeczne. Ze streszczenia tego ustępu przemówienia dowiadujemy się, że ks. Biskup po wyłożeniu głównego celu nabożeństwa, oświadczył, iż „niektórzy z obecnych przyszli jeszcze w celu modlitwy za solenizanta dzisiejszego, którym jest jeden z generałów polskich i że go proszono o wzmiankę o nim".

Jak widać z dalszego streszczenia, ks. Biskup następnie żadnej wzmianki bezpośrednio o Marszałku Piłsudkim nie uczynił, tak, że możnaby powziąć wątpliwość jakiego to mianowicie „jednego z generałów polskich" miał na myśli. Zamiast tego nastąpił dłuższy wywód o potrzebie modlitwy za osoby bliskie, o warunkach skuteczności modlitw, oraz o niedopuszczalności stawiania narówni ceremonij świeckich z kościelnemi. „Zakończyłem— pisze autor—wezwaniem do kornej i gorącej modlitwy za wszystkie potrzeby Ojczyzny naszej i nieszczęśliwej Rosji z jej ludem umęczonym, i na wszystkie moje i wszystkich obecnych intencje".

Pomimo więc zadokumentowania tego, że zwrócono się do niego z odpowiednią prośbą, ks. biskup Łoziński pominął milczeniem imię Marszałka Piłsudskiego, jako solenizanta w owym dniu i ograniczył się do pewnych uwag częściowo polemicznych, częściowo pouczających. Trudno się dziwić, że u ludzi, żywiących cześć dla wielkości i czystości postaci Marszałka Piłsudskiego wywarło to bardzo przykre wrażenie. Była to wyraźna demonstracja, tem dziwniejsza i niespodziewana, że mówca demonstracje w kościele w tej samej chwili potępiał.

Być może, reakcja ze strony słuchaczy była o tyle zbyteczna, że ks. Biskup spowopowany został nią do owych wyjaśnień, z których ucieszyła się jedynie prasa endecka. Komu nie mogą one służyć za gratkę w grze politycznej, ten treścią ich zbudowany nie zostanie.

„Oburza was — pisze ks. Biskup w swoich wyjaśnieniach — że nie chciałem wypowiedzieć panegiryku na cześć p. Marszałka. Otóż na to muszę wam odpowiedzieć z całą otwartością, iż rzeczywiście nie chciałem i że podległemu mnie duchowieństwu wyraźnie takich panegiryków wygłaszać zakazałem" Nie sądzimy, aby chodziło koniecznie o panegiryk, ale, gdyby nawet tak było, to czy to życzenie powinno było skłonić ks. Biskupa do demonstracji w przeciwnym kierunku? Czy pomiędzy panegirykiem, a całkowitem przemilczeniem niema innych form wspomnienia i wskazania na to, co jest w człowieku wielkiem, a w jego czynach nieprzemijającem, a co przytem nigdy nie było sprzecznem z wymogami i interesem Kościoła? Czyżby bowiem, gdyby było inaczej, mógł Papież Pius XI niejednokrotnie dawać wyraz swoim uczuciom przyjaźni i uznania dla Marszałka Piłsudskiego?

W obszernych uwagach i wyjaśnieniach, któremi w dalszym ciągu listu zaopatruje autor swoje zasadnicze oświadczenie, występuje on w roli krytyka i moralisty, w roli rygorystycznego zwolennika egalitaryzmu ludzi świeckich wobec Kościoła. „... Uroczystość kościelną czynić równą obchodowi na cześć żywego człowieka jest bluźnierstwem" — pisze ks. Biskup. Ale któż właściwie wysuwał w Pińsku lub gdziekolwiek bądź tak daleko idące postulaty? Gdyby nawet były podobnie nieumiarkowane głosy, to dlaczego ks. Biskup Łoziński tak pośpiesznie je generalizuje i na nich opiera cały swój wywód?

Do każdego obozu, który zwycięsko idzie naprzód, przystają gromady ciurów, które przy każdej pomyślnej okazji gotowe są prześcigać się we wrzaskliwem pochlebstwie i karnej czołobitności, aby kiedyś przy pierwszem niepowodzeniu ulotnić się jak kamfora w poszukiwaniu silniejszego. Tej zwykłej ludzkiej kanalji nie brakuje nigdzie tam, gdzie jakieś silne ręce pchają naprzód koło historji, tak jak przy siewcy nie brakuje wron, starających się wyłapać niepokryte ziemią ziarnka. Ale przecież nie o tę kategorję ludzi mogło chodzić ks. Biskupowi Łozińskiemu, kiedy mówi w liście: „niech entuzjazm wasz ma zawsze objawy poważne". Nie z ich strony dały się słyszeć słowa zawodu i krytyki z powodu treści tego ustępu przemówienia, które miało zawierać „wzmiankę" o dostojnym solenizancie.

Wypadłoby może zgodzić się na egalitaryzm ks. Biskupa Łozińskiego, tak rygorystycznie zastosowany do Marszałka Piłsudskiego, gdyby wogóle w Kościele katolickim był on równie ściśle przestrzegany. Czyż nie widzimy jednak co krok w przeszłości i teraźniejszości Kościoła bardzo rozciągłej skali w traktowaniu osób świeckich? Czy w epitafjach, nagrobkach, kazaniach i innych wspominkach kościelnych nie spotykamy słów uznania, czci, wyliczania zasług i cnót, nieraz nawet przesadnych, nieraz dość subjektywnych, nie znajdujących pełnego potwierdzenia w objektywnej ocenie życia i czynów danego człowieka? Czyż cała filozofja i nauka katolicka, oparta na zasadach autorytetu i hierarchji, nie przeczy temu egalitaryzmowi kościelnemu, który leży u podstawy rozumowania ks. Biskupa Łozińskiego?

Praktyka kościelna nie potwierdza również, aby jedynie osoby koronowane, lub conajmniej formalnie piastujące najwyższą w państwie godnosć były uprawnione do wyjątkowego honorowania ich w kościele. Jednak ks. biskup Łoziński, podając dalsze motywy swej odmowy w dniu św. Józefa, powiada: „P. Piłsudski nie jest Głową Państwa, a jest działaczem politycznym". A więc dlatego nie jest godzien wspomnienia w kościele w dniu swego patrona, że odsunął od siebie najwyższą godność państwową, że pogardził zaszczytami, które płyną z tytułu formy, a nie z tytułu bezpośredniej wartości i wielkich zasług człowieka. A więc wskrzesiciel zmartwiałej w narodzie idei niepodległości, jej zwycięski szermierz i wódz, pogromca zagrażającej Europie i chrześcijaństwu nawały bolszewickiej, człowiek, którego imię otoczone jest legendą w masach, a dla wojska starczy za hasło i sztandar, za symbol całkowitego poświęcenia Ojczyźnie, — jest w oczach ks biskupa Łozińskiego tylko „P. Piłsudskim", tylko „działaczem politycznym", tylko „jednym z generałów polskich", niezasługującym na inną w kościele wzmiankę, jak tylko na wezwanie do modlitwy za niego, „aby umiał wszystkich do pracy dla Ojczyzny pociągać i jednoczyć, nie zaś przez swój charakter lub metody rozbijać siły narodu.., aby go Pan Bóg bronił od złych doradców i od „przyjaciół" — pochlebów.., od wpływów wspólnej nam wszystkim krewkości..." i t. d. i t. d,

Nie zdawał widocznie sobie sprawy autor tych słów, w chwili kiedy je pisał, że mówi o człowieku, który sam sobie, mocą własnej decyzji mógł każdej chwili włożyć koronę na głowę... Nie z tytułu następstwa lub innych praw formalnych, lecz z tytułu tej pozycji w narodzie, jaką sobie całem swem życiem i działalnością zdobył. A czy wówczas nawet, przy istnieniu wrogich mu grup i organizacyj w kraju, również nie odpadłyby te skrupuły, które nie pozwoliły Biskupowi Pińskiemu uczynić zadość prośbie do niego w dzień ś-go Józefa skierowanej? To co dziś stało się dla ks. Biskupa powodem do moralno-politycznych pouczeń, byłoby jego normalnym, nie podlegającym dyskusji obowiązkiem.

Ks. Biskup Łoziński nigdy nie uchodził w rzędzie polskich wysokich dostojników kościelnych za człowieka ulegającego wpływom obozu nacjonalizmu polskiego, obozu walki z Piłsudskim. Sądzimy też, że swojem ostatniem wystąpieniem nie chciał bynajmniej przysporzyć temu obozowi atutów w jego zaciekłej grze politycznej, a w sfery wojska wnieść ferment urazy oraz zakwestjonować najwyższy w niem autorytet wodza. Niestety, ten a nie inny skutek pociągnęły za sobą obydwa jego ostatnie wystąpienia.

Z tem bardziej przykrem wrażeniem i głębokim żalem bierze się w rękę pismo narodowo-demokratyczne, przedrukowujące *in extenso* z triumfującem milczeniem, z ukrytą *Schadenfreude* otwarty list pasterski, wytłuszczające najbardziej dla nich „smaczne" jego ustępy. Lecz minie pamięć o tym dokumencie, jak bezpowrotnie mija to wszystko, co nie jest z łańcucha ogniw, tworzących wielkie etapy życia zbiorowego, co nie wynika z głębokiego wejrzenia w istotną treść i znaczenie rozgrywających się współcześnie wypadków.

Testis.

Wszystkim czytelnikom, współpracownikom i przyjaciołom naszego pisma zasyłamy serdeczne życzenia

WESOŁYCH ŚWIĄT!

Ratyfikacja traktatu handlowego polsko-niemieckiego

nastąpi prawdopodobnie jeszcze przed ferjami.

BERLIN, 18.IV. (Pat). „Frankfurter Ztg" donosi że rząd Rzeszy jeszcze w maju przedłożyć ma Reichstagowi traktat handlowy z Polską. Rząd niemiecki dołoży ze swej strony wszelkich starań, aby traktat ratyfikowany został jeszcze przed rozejściem się Reichstagu na ferje letnie.

Potrzeba oszczędności.

Telefonem od własnego korespondenta z Warszawy.

Min. Spraw Wewnętrznych wydał wczoraj okólnik do wszystkich związków komunalnych, w którym nakazuje, wobec ciężkiej sytuacji gospodarczej, bezwzględne stosowanie jak najdalej idących oszczędności i obowiązkowe utrzymanie równowagi budżetowej poszczególnych samorządów.

Wypłata urzędnikom dodatku mieszkaniowego.

(Tel. od własnego korespondenta z Warszawy).

Min. Skarbu rozesłało do wszystkich urzędów państwowych okólnik, w którym zawiadamia, iż na podstawie uchwały Rady Ministrów z dn. 29 marca, upoważniającej Min. Skarbu do zarządzenia w roku budżetowym bież. dalszej zaliczkowej wypłaty dodatku mieszkaniowego, oraz zasiłków miesięcznych w wysokości 15 proc. normalnych poborów, należy w dalszym ciągu należności te wypłacać urzędnikom w dotychczasowej wysokości.

Spotkanie kombatantów niemieckich i francuskich

nie dojdzie do skutku, z powodu obrazy Francuzów.

PARYŻ, 18.IV (Pat). Jak wiadomo, latem miała się odbyć olbrzymia pacyfistyczna manifestacja francusko-niemiecka, podczas której 10 tysięcy byłych kombatantów niemieckich miało się spotkać na polach bitew, stoczonych w czasie wielkiej wojny z byłymi kombatantami francuskimi i wspólnie z nimi zwiedzić miejsca, gdzie razem krew przelewali.

„Figaro" dowiaduje się, że manifestacja ta nie dojdzie do skutku w tym roku. Za wspólnem porozumieniem postanowiono odroczyć ją do roku przyszłego. Organizatorzy francuscy przekonani są bowiem, że Niemcy nadali całemu projektowi niewłaściwy charakter. Przedstawiono całą rzecz przez opinję publiczną Niemiec w sposób uwłaczający imieniu i miłości własnej Francuzów. Wywołało to oczywiście żywy protest wśród byłych kombatantów francuskich. Wszystko, co może zmniejszyć nienawiść, pisał w tych dniach jeden z bohaterów wielkiej wojny por. Pericard, jest dobre, ale nie trzeba, aby była przyjęta za dowód strachu.

Z drugiej strony wybór mjr. von Mayera, jako przewodnika Niemców, wywołał ze strony Francji ogólną opozycję, którą podzieliły i sfery rządowe. Wszystkie te okoliczności złożyły się na odłożenie manifestacji,

Podając tę wiadomość, „Figaro" zaznacza z zadowoleniem, że historyczne miejsca, na których Francja ceną krwi swych synów wywalczyła pokój, nie będą jeszcze oddane na pastwę chwiejnej i niepewnej koncepcji pacyfizmu locarneńskiego.

Katastrofa lotnicza pod Grudziądzem.

TORUŃ, 18.IV. (Pat). Wczoraj w godzinach popołudniowych w czasie dokonywania lotu ćwiczebnego wydarzyła się w Tuczewie pod Grudziądzem katastrofa lotnicza, w której ofiarą padło 2 lotników.

Gdy samolot znajdował się na wysokości ponad 800 metrów, pilot zamierzał skręcić w stronę miasta, przyczem na wirażu wpadł w korkociąg, z którego, z powodu zbyt małej wysokości nie zdołał wyprowadzić samolotu. Aparat został roztrzaskany doszczętnie Mechanik starszy Najdrowski poniósł śmierć na miejscu, pilot zaś sierżant Kłosiński w stanie beznadziejnym przewieziony został do szpitala miejskiego.

Trzęsienie ziemi w Grecji.

ATENY, 18.IV. (Pat). W Atenach, Peloponezie, Pireusio i okolicach Koryntu dały się odczuć silne wtrząsy podziemne, które wywołały panikę wśród ludności. Kilka domów runęło w gruzy.

Straszne skutki zderzenia pociagu z autem.

WALENCJA, 18.IV. (Pat). Pociąg idący w kierunku Sagunto, wpadł na auto, przyczem 12 osób zostało zabitych, zaś 16 odniosło rany. Zwłoki ofiar katastrofy rozrzucone zostały na torze na długości 200 metrów.

Strzały w kancelarji adwokata.

Tragiczny finał rozmowy z klijentem.

KRAKÓW, 18.IV. (Pat). W kancelarji adwokata dr. Krengela rozegrała się dziś po południu krwawa tragedja, której przyczyny nie udało się dotychczas ustalić.

Do gabinetu Krengela, prowadzącego sprawę rozwodową pewnej właścicielki dóbr pod Krakowem, zgłosił się około godz. 5 po południu Józef Kasiński, praktykant rolniczy w majątku tej właścicielki ziemskiej i po ostrej wymianie słów z adwokatem strzelił doń z rewolweru, raniąc go ciężko w brzuch Kasiński wybiegł następnie na podwórze domu, gdzie pozbawił się życia trzykrotnym strzałem z rewolweru. Lekarz pogotowia opatrzył ciężko rannego adwokata i przewiózł go do szpitala w stanie bardzo ciężkim Kula przebiła jelita i spowodowała krwotok.

Huragan.

BUENOS-AIRES, 18.IV. (Pat). Gwałtowny huragan przewrócił budującą się wieżę. Pięciu robotników zostało zabitych.

Gruzy walącego się baraku przygniotły 7 dzieci.

MADRYT, 18.IV. (Pat). W miejscowości Cabanal runął barak, przyczem ciężkie rany odniosło 7 dzieci.

Briand

ukończył wczoraj 5 lat pełnienia funkcyj ministra spraw zagranicznych.

PARYŻ, 18.IV. (Pat). W dniu wczorajszym minęło 5 lat od chwili objęcia przez Brianda teki min. spraw zagranicznych. Jedynymi mężami stanu, którzy dłużej niż przez 5 lat kierowali polityką zagraniczną Francji, byli Tayllerand, Guisot i Delcassé.

Ograniczenie podróży służbowych.

Tel. od wł. kor. z Warszawy.

Wicemin. spraw wewnętrznych wystosował do wszystkich dyr. departamentów i naczelników wydziałów w Min. Spraw Wewnętrznych następujące pismo: „W bieżącym okresie budżetowym Min. rozporządza bardzo szczupłemi kredytami.

Koszty podróży służbowych stosunkowo znaczne — są mniejsze, aniżeli w okresie poprzednim. Ponieważ z drugiej strony wydanie dodatkowego kredytu, z uwagi na trudną sytuację finansową państwa, nie będzie możliwe, — z tych przeto względów koniecznością bezwarunkową jest ograniczenie wydatków na podróże służbowe do ram kredytu na ten cel przeznaczonego.

Z tych względów dopuszczalne będą jedynie najkonieczniejsze wyjazdy służbowe uzasadnione ważkiemi względami".

Listy wyborcze do Sejmu Śląskiego.

Tel. od wł. kor. z Warszawy.

W dniu 17 b. m. upłynął termin składania list wyborczych do Sejmu Śląskiego, do którego wybory odbędą się w dniu 11-go maja. Ogólnie złożono 15 list, z których 12 jest polskich, 2 niemieckie i 1 komunistyczna. Na listach tych kandyduje ogółem 720 osób na 48 mandatów do Sejmu Śląskiego. Lista prorządowa Narodowo-Chrześcijańskiego Zjednoczenia Pracy otrzymała we wszystkich okręgach wyborczych Nr. 8.

Pierwsza burza wiosenna.

Wczoraj nad Warszawą po raz pierwszy w tym roku przeszła silna burza z błyskawicami i grzmotami, a potem deszczem.

Od Redakcji.

Następny numer naszego pisma ukaże się we środę po świętach.

Tow. Przyj. Zw. Strzeleckiego.

Rozwój Związku Strzeleckiego szybkiemi krokami postępuje naprzód. Jako organiz. przysposobienia wojskowego, mająca zarazem za zadanie uobywatelnienie swych członków, zdobywa coraz większe uznanie wśród części społeczeństwa rozumiejącej doniosłość wyrobienia odpowiednich kadr do obrony granic państwa na wypadek wojny. A konieczność taka jest tem większa, że graniczymy przecież przeważnie z sąsiadami czyhającymi tylko na naszą słabość. Dlatego też zawsze powinniśmy być silni i gotowi do odparcia wszelkich wrogich względem nas zakusów.

Ale organizacje strzeleckie potrzebują pomocy starszego społeczeństwa W tym celu powstają Towarzystwa Przyjaciół Związku Strzeleckiego, które niosą strzelcom pomoc zarówno materjalną jak i moralną

Załączona do numeru dzisiejszego „Kurjera Wileńskiego" odezwa T-wa Przyjaciół Związku Strzeleckego Okręgu Wileńskiego, którego prezesem jest gen br. Lucjan Żeligowski, poza apelem T-wa do ogółu społeczeństwa o wstępowanie w szeregi T-wa Przyjaciół Strzelca oraz okazywanie jego członkom pomocy zawiera krótkie streszczenie tego, co Związki Strzeleckie na terenie naszego województwa dotychczas dokonały.

Zamiast życzeń świątecznych.

Zamiast wizyt świątecznych złożyli ofiarę nabudowę „Domu Dziecka" im. Marszałka Józefa Piłsudskiego Wojewoda Wileński Wł. Raczkiewicz i urzędnicy Urzędu Wojewódzkiego sumę — 235 zł. 50 gr.

P. Sen. Witold Abramowicz zamiast powinszowań wielkanocnych na Dom Wychowawczy im. Marszałku Piłsudskiego zł. 20.

Dowódca i Sztab 1 dywizji piechoty Legjonów — przesłali zamiast życzeń świątecznych na fundusz dyspozycyjny Pana Ministra Spraw Wojskowych złotych 15.

P. pułkownik dr. Eugenjusz Dobaczewski zamiast życzeń świątecznych na Dom Wychowawczy im. Marszałka Piłsudskiego zł. 20.

P. Antoni Wiszniewski zamiast życzeń świątecznych składa zł. 19 na odbudowę kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie.

Zamiast życzeń świątecznych inż. Kazimierz Hertel, Komisarz Kas Chorych, na Dom Dziecka im. Marszałka J. Piłsudskiego składa 10 złotych.

Janina i Aleksander Safarewiczowie zamiast życzeń świątecznych na Dom Wychowawczy dla Sierot im. Marszałka J. Piłsudskiego zł. 10.



Linoleoryt Kazimiery Adamskiej - Rouba.

REZUREKCJA WILEŃSKA.

Tegoroczna Wielkanoc schodzi się jak przed laty 11 z ważną dla Wilna pamiątką: wyzwolenia od jarzma bolszewickiego przez bohaterski czyn ułanów Beliny, Dreszera, Zaruskiego. Imiona tych trzech wodzów i tego, który ich na to szalone ryzyko pchnął, imię Marszałka Piłsudskiego, będzie na każdych ustach wilnianina w dzisiejszym dniu. Nie będzie chyba nikogo, kto w modłach rezurekcyjnych nie wspomni, że jeśli jeszcze po kościołach naszych brzmi śpiew: „Wesoły nam dziś dzień nastał", jeśli te kościoły nie zostały sprofanowane, a Wilno nie wymarło z głodu i nędzy, to zawdzięczamy wojsku polskiemu i jego wodzom.

Jak już nieraz w Polsce bywało, czyn orężnej odwagi i poświęcenia sprawie Ojczyzny, połączył się przed 11 laty w dziwny, opatrznościowy sposób, z odpowiedniem świętem kościelnem. Rezurekcję obchodziło Wilno podwójną. Zmartwychwstanie duchowe obrządkiem chrześcijańskim ustanowienie, i zmartwychwstanie z wiekowej niewoli w niezwykłym triumfie, w którym wzięli udział nietylko żołnierze, ale młodzież, rzemieślnicy, kolejarze, dziewczęta, wyrostki... całe Wilno. Całe w ów dzień modliło się i walczyło do ostatniego tchu, wiedząc, że jeśli nie zwycięży, zginąć musi zupełnie. To też w pieśniach i modłach pobożnych, które dziś zabrzmią w kościołach wileńskich, oddając cześć Zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa, w uroczystościach i nabożeństwach, pierwsi wśród wiernych zajmować muszą miejsce nasi obrońcy. **Dla polskiego munduru pierwsze miejsce!** Niema bardziej zasłużonego znaku przed ołtarzami, bardziej godnych czci i chwały!

Tak się złożyły nasze warunki polityczne, że żołnierz polski nie był tylko obrońcą granic, polityki dynastycznej czy zdobywcą ziemi, był też zawsze obrońcą chrześcijaństwa. Jak przez wieki od islamu bronił Europy, tak zaledwie powstała armja polska w 1919 r. z niczego, bosi, obdarci, prawie bezbronni żołnierze, niewyćwiczeni, zebrani z kilku formacyj, wytrzymali na sobie do 1920 napór bolszewickich hord, nie dali Azji zalać Europę.

Było to zdarzenie jedno z najdziwniejszych, jakie znają dzieje. Po ludzku tego zrozumieć nie można; zdawało się, że mieć nadzieję i ufność w zwycięstwo czy choćby obronę, to szaleństwo. Tam szło morze dziczy, krwawe od świeżych mordów, gotowe na wszystko, przywykłe od 125 lat znęcać się nad nami — a odpór miał im dać naród budujący swe państwo w ogniu wojny, armję w płomieniach szrapneli, sztab w jadowitych intrygach swoich i obcych, z żołnierza wychowanego przez obcą szkołę i rządy zaborcze!

I siła ducha garści ludzi, stojącej przy Marszałku Piłsudskim potrafiła tak wstrząsnąć i natchnąć ogół, że zebrał w sobie wszystką moc, wszystką miłość Ojczyzny i wiary i rzucił ją jak taranem, jak zaporą, jak szaniec boży przed wrogiem.

I te zastępy szatańskie załamały się na tej duchowej potędze narodu, która siły jego wyolbrzymiła i poniosła pod szandary polskie dzieci ze swym katechetą na czele i robotników z czerwonym znakiem — wszyscy zgodnie walczyli, by ocalić Ojczyznę. Oto jest obraz zbiorowej potęgi i jedności w miłowaniu, obraz, do jakich wielkich czynów prowadzą!

Więc święta Wielkanocy w Wilnie mają większe znaczenie, niż gdzie indziej, modły szczersze być powinny i pełne wdzięczności dla wojska polskiego. Niechże obfitość tradycyjna jadła i napoju nie zaćmi w umysłach ludzkich doszczętnie pamięci tamtych czasów, kiedy, sam głodny i spragniony żołnierz, dzielił się z nami ostatkiem, a my z nim.

Niech nasze sumienie narodowe nie zadrzemuje w spokoju i dobrobycie; nie zapominajmy ani na chwilę, kto na nasz spokój i życie czyha, a kto go broni Jak dalece każdy z nas, nie walcząc z krzywdą społeczną, obojętniejąc dla upośledzonych, żyjąc egoistycznie, przygotowuje grunt pod posiew złego ziarna ze wschodu.

U grobu Chrystusa czuwał żołnierz polski przez dni żałoby, odwalił kamień grobowy, wszedł z Panem do zmartwychwstałej Ojczyzny. Nikt bardziej od niego nie czuwa, by jej znów grobu nie wykopali ludzie złej woli. Na Rezurekcji pamiętajmy, wilnianie, kto sprawił, że 11 lat temu była tak triumfalna i radosna.

Hel. Romer.

CÓŻ MI WIOSNA?

Kiedy mgły się rozwłóczą po polach i łąkach,
Kiedy zdrętwiałe ptaki ockną się i wzlecą,
Gdy pół na pół chłód z ciepłem, słońce z cieniem splotą
Szare chmurzyska, dławiąc błękity na niebie,
Kiedy wątlutka trawka... wszystko to już wiecie...
I powie każdy: Prawda, to już przecie,
Wiosna na świecie!

O, jakże obojętne są mi pory roku,
Jakże niepostrzeżony Marzec czy Listopad,
Jak nic warty kwiat w pąku, albo ten co opadł,
Jakże dni lekceważę, śmierci mojej gońce,
Jeśli w sercu mam własne, wielkie, wieczne słońce!

Hero.

H. G. WELLS.

Nowe formy czy reforma małżeństwa?

Pierwszym nakazem przyszłość i dobro dzieci. — Małżeństwo i rozwód w nowem świetle.

Nie jestem specjalistą w dziedzinie rozwodowej i wogóle unikałem w moich powieściach poruszania tego tematu. Nie byłem nigdy obecny na sprawie rozwodowej, sprawozdań tego rodzaju prawie nie czytuję i nie znam odnośnego materjału statystycznego. Co się jednak tyczy dzieci rozwiedzionych czy nieżyjących ze sobą małżeństw, to mam wrażenie, że los ich jest zbliżony do losu dzieci nielegalnych, rosną one w atmosferze moralnej niepewności, co odbija się później w ich życiu. W stosunkach zaś społecznych ludzie tacy okazują prawdopodobnie mniejszą sprawność i odwagę. A jeżeli jeszcze nie są stworzeni z dobrej gliny, to na całe życie pozostaje im uczucie niewiary w siebie i przekonanie o swojej małej wartości.

Unikałem dotąd poruszania tej kwestji, gdyż nie jestem zwolennikiem rozwodów. Myśl rozstania się dwojga ludzi, których połączyły najgłębsze wspólne przeżycia, wydaje mi się nieludzka. Żaden katolik nie jest bardziej zdecydowanym przeciwnikiem rozwodów, niż ja. Rozwody są tylko następstwem zbyt pośpiesznego zawierania małżeństw w społeczeństwach współczesnych.

Jako indywidualista, nie uznaję niepotrzebnego wtrącania się w życie prywatne. Życie miłosne dorosłego człowieka, o ile tylko nie przynosi szkody społeczeństwu, jest jego własną sprawą. Społeczeństwo ma prawo chronić młode, dorastające pokolenie przed szkodliwemi wpływami. W państwie nowoczesnem dobro dzieci jest jedynem rozumnem uzasadnieniem instytucji małżeństwa. Wszelkie inne uzasadnienia są albo natury sentymentalnej, albo mistycznej. Rozwód, który ma na celu dobro dzieci, jest z racjonalnego punktu widzenia absolutną niedorzecznością.

Współczesne dążenia do reformy małżeństwa nie mają żadnej rzeczowej podstawy. W pierwszych fazach rozwoju ludzkości małżeństwo było środkiem ochronnym przeciw zwierzęcym zawiściom ludzkim, które w przeciwnym razie rozbiłyby zawiązujące się społeczeństwa. Tworzyło ono system różnych „tabu", które wszakże nie miały z dziećmi nic wspólnego albo bardzo niewiele. Nawet dziś jeszcze są ludzie, nie mający pojęcia o prawdziwym stosunku ich seksualnego życia do potomstwa. Nie wiedzą oni, że stosunek miłosny oznacza w następstwie zobowiązania wobec dzieci. Dzielą oni rodzaj ludzki na dwie strony, które mają wobec siebie tylko jednego rodzaju zobowiązania. Jeszcze dziś dla większości ludzi małżeństwo jest instytucją, mającą na celu jedynie ochronę indywidualnych praw seksualnych. W następstwie tego stanu rzeczy w wielu krajach rozwód może nastąpić tylko naskutek złamania wierności małżeńskiej. O tem, że małżeństwo stanowi w zasadzie kamień węgielny ogniska domowego i rodziny nie zwykło się jakoś mówić. Ten pogląd na rzecz jest czemś zupełnie nowem. Forma małżeństwa które było ostoją społeczeństwa przeżyła się już i straciła rację bytu. Wobec tego interwencję państwa w zakresie seksualnych stosunków obywateli uznaję za absolutnie zbędną. Mogą się tem co najwyżej zajmować instytucje religijne, które posiadają odpowiedni autorytet.

Ale dziecko uczyniłbym żywym, nieusuwalnym węzłem, łączącym rodziców. I rodziców tych uczyniłbym odpowiedzialnymi zbiorowo i oddzielnie za opiekę nad dzieckiem, za jego wychowanie i dobrobyt do czasu jego niezależności życiowej. W razie gdyby oboje rodzice albo jedno z nich nie wypełniło w całości lub częściowo swoich rodzicielskich zobowiązań, państwo miałoby prawo wejrzeć w ich uchybienia przez specjalnie do tego upełnomocnionych funkcjonarjuszy. Stworzyłbym również zbiorową odpowiedzialność ogółu rodziców.

Może mi kto zarzuci, że występuję przeciwko rodzinie monogamicznej. Tak nie jest. Rodzina monogamiczna istnieje nie dlatego, że jest ochraniana prazez prawo, ale dlatego, że stanowi najwygodniejszą i najnaturalniejszą formę współżycia dla mężczyzny i kobiety. Większość ludzi żyłaby w ten sam sposób parami, nawet gdyby nie istniały żadne zmuszające ich do tego prawa.

Wątpię, czy przeciętny czas trwania europejskich czy amerykańskich małżeństw jest dłuższy, niż przeciętny czas trwania t. zw. stosunków miłosnych czyli małżeństw nielegalnych. W tym względzie przypisujemy naszym prawom zbyt wiele. Prawa te sankcjonują poprostu to, co istniałoby i bez nich. Przypieczętowują swoją powagą naturalny związek małżeński i podnoszą larum, gdy obie strony zapragną zpowrotem swobody.

Ale jeżeli weźmiemy instytucję małżeństwa z punktu widzenia dobra dzieci, kwestja rozwodu właściwie upada. Państwo może się interesować zagadnieniem małżeństwa tylko z tego punktu widzenia.

W małych, pierwotnych społeczeństwach kojarzenie się lub rozchodzenie małżeństw może mieć znaczenie ogólne ale co kogo dziś obchodzą afery rozwodowe, rozgrywające się w Paryżu, Londynie lub Nowym Jorku? Tyle tylko, że jest to żer dla prasy, bo osoby zainteresowane nie wychodzą na tem dobrze.

Jeżeli wszakże w grę wchodzą dzieci, sprawa nabiera wręcz odwrotnego charakteru.

Wtedy bowiem zagadnienie przestaje dotyczyć jednostek, a staje się rzeczą, dotyczącą państwa i społeczeństwa.

Państwo stawia pytanie:

„Czy jesteście gotowi udzielić dzieciom serdecznej opieki, wpoić im zmysł społeczny i przygotować do samodzielnej walki z życiem? A jeżeli nie, to w jakim celu zawarliście związek małżeński i jak sobie wyobrażacie wasze wspólne zadania?"

Nie pojmuję, jak w przyszłości uda się uniknąć powstania różnych dodatkowych typów małżeństwa Dziś uznana jest prawnie tylko jedna forma. Jeżeli będziemy chcieli, aby w przyszłości było mniej zaniedbanych dzieci rozwiedzionych rodziców, nieszczęśliwych dzieci z nielegalnych związków, dalej zaś również nieszczęśliwych pasierbów i pasierbic oraz dzieci które żyją w „domach nienawiści", musimy się pogodzić z możliwością różnych typów małżeństw. Reformatorzy społeczni za mało dotychczas zwracali uwagi na to zagadnienie. Uważam, że jeżeliby próby pojednania zawiodły, właściwym środkiem zaradczym nie byłby rozwód i wrogie rozstanie się rodziców, lecz rozpatrzenie zagadnienia przez specjalnego doradcę i samych rodziców w celu przeniesienia współżycia na jakąś inną, zmienioną platformę.

A więc: reforma małżeństwa jako alternatywa reformy prawa rozwodowego. Jestem zdania, że obecny system małżeński i rozwodowy jest śmieszny, głupi i straszny.

Co się tyczy rozwodu, to jestem prawdopodobnie z nowoczesnego punktu widzenia sentymentalny i staroświecki. Wydaje mi się straszną rzeczą, aby dwoje ludzi, którzy związali się nawzajem najgłębszem, obustronnem zaufaniem, serdecznemi wspomnieniami i wspólnemi troskami, którzy się razem śmiali, razem byli szczęśliwi i razem się radowali, aby ci ludzie mogli naprawdę pragnąć zupełnego rozstania. Przecież oni stali się niejako jedną istotą.

Ciężkie upokorzenia, utrata wzajemnego zaufania, zadane sobie nawzajem rany czy wreszcie cokolwiekbądź, co prowadzi do rozejścia się, wszystko to nie może zabić zamkniętych w sercach wspomnień. Nie może i nie powinno, ale widzę jednak, że się tak dzieje.

Prawa małżeńskie i prawa rozwodowe dają jeszcze wymowniejsze świadectwo nierozumnej bezwzględności rodzaju ludzkiego, niż stosunki ekonomiczne i wojenny patrjotyzm. Są to wszystko rzeczy, o których wolałoby się nie wiedzieć.

Postulaty konstytucyjne.

Po zamknięciu sesji sejmowej i po miarodajnych oświadczeniach rządu, iż nie widzi on możliwości przeprowadzenia zmiany ustroju w drodze współdziałania z obecnym Sejmem, sprawa rewizji konstytucji została jakgdyby odsunięta w przyszłość, conajmniej do chwili zebrania się nowego Sejmu.

Pisma codzienne, związane z natury swej z zagadnieniami chwili bieżącej, przestały na pewien czas pisać o tej sprawie. Sądzimy jednak, że ten okres pauzy w walce politycznej o nowy ustrój jest najdogodniejszym dla spokojnej beznamiętnej wymiany myśli na ten temat, dla wypowiadania się uczonych i ludzi, stojących ponad obozami i grupami bezpośrednio zaangażowanemi w politycznem działaniu.

Z tych powodów zamieszczamy dziś łaskawie nam nadesłany przez Szanownego autora artykuł, znakomitego uczonego i myśliciela, dający określoną koncepcję rozwiązania tak szeroko omawianego dziś problemu wzmocnienia władzy państwowej i zabezpieczenia państwa od wewnętrznego bezwładu. Koncepcja ta jest wyrazem indywidualnych poglądów prof. Jaworskiego i nie angażuje zupełnie stanowiska naszego w omawianych przez niego zagadnieniach (Red.).

Zapatrywanie moje na potrzebę i kierunek rewizji naszej konstytucji wypowiedziałem w mej książce „Projekt Konstytucji" (Kraków 1928). Zdaję sobie jednak sprawę, że projekt tam przedstawiony nie może być obecnie w całości przeprowadzony. Na przeszkodzie stoi przedewszystkiem to, że zbudowany został na poglądach naukowych, które dzisiaj nie są jeszcze panującemi. Potrzeba czasu, aby się stały dobrem powszechnem. Drugą przyczyną jest to, że wedle mnie wyjściem z obecnego przesilenia ustrojowego jest zorganizowanie społeczeństwa wedle zawodów. Myśl ta zyskuje coraz więcej zwolenników, ale wprowadzenie jej w czyn wymaga długich przygotowań, których jeszcze nie poczyniliśmy. Z tych powodów rozumiem, że obecna rewizja konstytucji będzie miała mniejszy zakres i będzie się opierała na panujących pojęciach i teorjach.

Konstytucja marcowa zawiera sprzeczności, a życie wykazało, że są w niej luki, które trzeba było wypełnić niejedokrotnie dość ryzykowną interpretacją. Nie zawsze widzimy też w niej dość ściśle określone pojęcia, a to utrudnia konsekwentną interpretację. Dla przykładu cytujemy: nie widzimy, aby pojęcie ustawy, rozporządzenia i dekretu było jednolicie stosowanem: stosunek premjera do ministrów nie jest jasno uregulowany, a nie możemy się także oprzeć na konstytucji, gdy idzie o stosunek Prezydenta Rzeczypospolitej do premjera i do poszczególnych ministrów; pamiętamy spór o sposób uchylenia dekretu Prezydenta; wielka dziedzina samorządu jest także terenem, na którym można się zbłąkać. Z wszystkiemi temi kwestjami, a cytowaliśmy je tylko przykładowo, musi się zetknąć Komisja Konstytucyjna i starać się je rozstrzygnąć. Zakres jej działania zwiększy się, jeżeli zechce wprowadzić nowe instytucje, jako to Radę Stanu, Trybunał Konstytucyjny, Naczelną Izbę Gospodarczą i Sąd Wyborczy. Trzeba będzie wówczas nietylko unormować te instytucje, ale określić także miejsce, jakie zajmują w całym ustroju państwowym, w szczególności określić ich stosunek do rządu i parlamentu. Wszystkiemi temi sprawami zająłem się w mojej wyżej cytowanej książce i starałem się je wedle sił rozwiązać, nie chcę się więc powtarzać. Obecnie pragnę tylko podać te punkty, które mojem zdaniem są najważniejsze jeżeli nasz ustrój państwowy ma być poprawiony.

Wychodzę z założenia, że parlament musi być utrzymanym i że wskutek tego istotnemi celami reformy są dwie kwestje:

1. Jakie należy wprowadzić w konstytucji zmiany, aby parlament uczynić zdolnym do wypełniania tych zadań, do których jest powołany?

2. Jakie zawierać powinna konstytucja urządzenia, aby nawet wówczas gdy parlament nie spełnia swoich zadań, państwo mogło istnieć?

ad. 1. Do osiągnięcia pierwszego celu służą:

a) Zniesienie proporcjonalności przy wyborach do Sejmu. Pociągnie to za sobą opuszczenie w artykule 11 konstytucji wyrazów „i stosunkowem", tudzież zmianę ordynacji wyborczej do Sejmu. Wybory odbywać się będą w okręgach jednomandatowych. W okręgach narodowo-mieszanych wybory odbywać się powinny w sposób określony w postanowieniu które proponuje umieścić, jako następne ustępy artykułu 11, a które mają opiewać:

„Państwo Polskie podzielone jest na okręgi wyborcze. Na każde 70.000 mieszkańców wedle ostatniego spisu ludności, przypada jeden okręg wyborczy".

„Każdy okręg nie uznany za narodowo mieszany wybiera jednego posła. Wybranym jest, kto otrzymał bezwzględną większość głosów. Jeżeli nikt nie otrzymał tej większości, następuje wybór ściślejszy między dwoma kandydatami, którzy otrzymali największą ilość głosów".

„Jeżeli w czasie kadencji mandat został opróżniony, następuje wybór uzupełniający".

„Przed każdemi wyborami Prezydent Rz. oznaczy dekretem na podstawie wniosku Rady Ministrów, które okręgi wyborcze zostają uznane za narodowo mieszane. Okręgi te obejmować będą 140.000 ludności i wybierają dwóch posłów".

„Każdy wyborca głosuje tylko na jednego z pośród zgłoszonych w sposób określony ordynacją wyborczą kandydatów, których narodowość będzie podaną w piśmie zawierającem zgłoszenie".

„Wybranym będzie ten, kto otrzymał bezwzględną większość głosów oddanych na kandydatów jednej narodowości. Większość ta jednak musi wynosić minimum głosów, które Prezydent Rz. przed każdemi wyborami oznaczy dekretem na podstawie wniosku Rady Ministrów".

„Gdyby tylko kandydat jednej narodowości otrzymał wymaganą wedle poprzedniego ustępu ilość głosów, druga narodowość w danym okręgu nie będzie w danej kadencji mieć posła".

„Gdyby żaden z kandydatów obydwóch narodowości nie otrzymał wymaganej ilości głosów, nastąpi wybór ściślejszy między czterema kandydatami po dwóch z każdej narodowości, którzy otrzymali największą ilość głosów wśród kandydatów danej narodowości".

„Gdyby przy wyborze ściślejszym żaden z kandydatów nie otrzymał minimum głosów, Prezydent Rzeczypospolitej dekretem na wniosek Prezesa Rady Ministrów, oparty na uchwale Rady Ministrów, podda rewizji wysokość tego minimum, poczem nastąpi wybór dodatkowy wedle powyższych postanowień".

„W zgłoszeniu kandydata podanym być musi także jego zastępca, który otrzymuje mandat w razie opróżnienia go przez wybranego kandydata".

Argumenty, które mojem zdaniem przemawiają przeciwko proporcjonalności, podałem w mojej książce na str. 122 nast. Sposób wyboru w okręgach narodowo mieszanych omówiłem w mojej książce na str. 131 nast.

b) Do osiągnięcia pierwszego z wyżej wymienionych celów służy dalej zmiana składu Senatu. Pierwszy ustęp art. 36 konstytucji, winien otrzymać następujące brzmienie:

„Senat składa się z senatorów, których liczba wynosi połowę liczby posłów do Sejmu, oznaczonej ordynacją wyborczą do Sejmu".

„Połowę senatorów wybierają samorządowe związki zawodowe, sfederowane w Naczelnej Izbie Gospodarczej, połowę zaś mianuje na czas kadencji Prezydent Rz. na wniosek Prezesa Rady Ministrów oparty na uchwale Rady Ministrów.

„W razie opróżnienia mandatu pochodzącego z wyboru nastąpi wybór uzupełniający, w razie zaś opróżnienia mandatu pochodzącego z mianowania nastąpi mianowanie uzupełniające".

Ponieważ jednak utworzenie i takie zorganizowanie Naczelnej Izby Gospodarczej, żeby mogła być użytą do wyboru senatorów, wymagać będzie dłuższego czasu, przeto proponuję, jako art. 127 Konstytucji postanowienie:

„Postanowienia niniejszej ustawy o wyborze połowy członków Senatu ze związków zawodowych i o przeprowadzeniu tych wyborów przez Nacz. Izbę Gospodarczą zostają zawieszone aż do zorganizowania wedle postanowień niniejszej ustawy tych związków zawodowych i Nacz. Izby Gospodarczej."

„Równocześnie z niniejszą ustawą wydaną zostanie ustawa o wyborze połowy członków Senatu z istniejących już obecnie związków zawodowych wolnych i gospodarczych."

c) Trzecim środkiem, wiodącym do osiągnięcia pierwszego z wyżej wymienionych celów jest równouprawnienie Senatu z Sejmem. Pociągnie to za sobą zmianę ust. drugiego artykułu 3, który powinien opiewać:

„Niema ustawy bez zgodnych uchwał Sejmu i Senatu, wyrażonych w sposób regulaminowo ustalony."

Pociągnie to za sobą dalej nadanie artykułowi 35 następującego brzmienia:

„Jeżeli Izba, do której rząd wniósł przedłożenie, odrzuci je w zupełności, rząd może je wnieść do drugiej Izby, a gdy tam zostanie uchwalone, wraca do pierwszej. Ponowne odrzucenie powoduje upadek sprawy."

„Gdyby druga Izba poczyniła poprawki w uchwałach pierwszej Izby, przedłożenie wraca do pierwszej Izby do obrad i uchwał tylko nad poprawkami. Gdyby wówczas pierwsza Izba odrzuciła poprawki, co do których druga Izba w osobnej uchwale nie zaznaczyła, że od nich czyni zależnem wogóle dojście do skutku ustawy, ustawa przychodzi do skutku w brzmieniu uchwalonem przez pierwszą Izbę przy ponownych obradach."

„Jeżeli różnica między uchwałami Izb tyczy się tylko wysokości liczby, każda Izba wybiera po piętnastu swych członków, a organ ten pod kolejnem przewodnictwem Marszałków, od starszego wiekiem poczynając, rozstrzyga sprawę ostatecznie. Przewodniczący nie głosuje. W razie równości głosów rozstrzyga Prezydent Rz. Do obrad tej delegacji stosuje się regulamin Sejmu.

„Wnioski poselskie wzgl. senatorskie lub Nacz. Rady Gosp., odrzucone w zupełności przez Izbę, do której zostały wniesione, upadają odrazu, zresztą zaś stosują się do nich powyższe postanowienia."

Ad 2) Środki, dążące do osiągnięcia drugiego z wyżej wymienionych celów, znane są pod utartą nazwą „wzmocnienie władzy Prezydenta Rz.". Jestem zdania, że wszystkie postanowienia obecnie obowiązującej Konstytucji odnoszące się do Prezydenta Rz. powinny ulec rewizji z jednolitego punktu widzenia i dałem temu wyraz w mej wyżej cytowanej książce. Obecnie pragnę podnieść te tylko momenty, które są istotne, a za istotne uważam postanowienia zabezpieczające byt i funkcjonowanie Państwa, gdy parlament z jakiegokolwiek powodu nie spełnia swych zadań. Odróżnić należy dwa przypadki: a) parlament nie funkcjonuje, bo nie jest zebrany, i b) parlament jest zebrany, ale nie funkcjonuje z jakiegokolwiek powodu, np. obstrukcji, niemożności utworzenia większości itp. W obydwuch przypadkach Konstytucja winna wskazywać sposób wyjścia. Jest nim przyznanie Prezydentowi kompetencji parlamentu w ramach, któreby obejmowały obce kategorje przypadków. Kompetencję tę ograniczyłbym tylko w jednym punkcie, to jest nie rozciągałaby się ona na zmianę Konstytucji. Zdaję sobie sprawę z oporu, który wywołałoby tego rodzaju postanowienie u ludzi wychowanych na dotychczasowych wzorach konstytucyjnych. Jednak potrzeba takiego postanowienia jest odczuwaną. Dowodem jest projekt kanclerza Schobera dla Austrji. Zgromadzenie Narodowe wprowadziło do niego zmiany, ale i tak to, co uchwalono jest dostatecznie elastyczne.

Z legislatywą Prezydenta Rz. łączy się kwestja przedkładania jego dekretów parlamentowi i kwestja unormowania sposobu gdyby parlament pragnął je uchylić. Wedle mnie może to nastąpić tylko w drodze ustawy i dlatego odpadają, mojem zdaniem, obie powyższe kwestje.

W wykonaniu powyższych rozważań proponuję w miejsce dodanych do art. 44 przez ustawę z 2 sierpnia 1926 ustępów następującego postanowienia:

„Ustawa może upoważnić Prezydenta powyższego upoważn. wydawać rozporzdz. z deń z mocą ustawy, w czasie i w zakresie, przez tę ustawę wskazanych, jednakże z wyjątkiem zmiany Konstytucji.

„Prezydent Rzeczypospolitej może bez upoważnienia wydawać rozporządzenia z mocą ustawy, w czasie, gdy Sejm i Senat nie są zebrane. Rozporządzenia te jednak nie mogą tyczyć się zmian Konstytucji. Takie samo prawo służy Prezydentowi Rzeczypospolitej, gdy Sejm i Senat są zebrane, ale nie są zdolne do uchwalenia odnośnej ustawy.

„Powyższe rozporządzenia Prezydenta mogą być uchylone tylko w drodze ustawy."

Problem, który w toczącej się obecnie dyskusji o reformie Konstytucji nazywa się „wzmocnieniem władzy Prezydenta", obejmuje jeszcze cały szereg kwestyj, jak tak zwane veto Prezydenta, odpowiedzialność Ministrów przed Prezydentem, ograniczenia votum nieufności dla Rządu i t. p. Daleki jestem od niedoceniania różności tych postanowień, ale ich nie przeceniam. Kto tę kwestję przemyśli, ten musi dojść do przekonania, że w ostatniej linji są to kwestje polityczne, czyli, że o ich egzekucji decyduje siła polityczna. Inaczej jest ze sprawą, którą ja uważam za istotną w tem znaczeniu, że bez jej załatwienia nie może być mowy o rzeczywistej poprawie stosunków. Załatwienie, które proponuję, ma oczywiście w ostatniej linji także naturę polityczną, ale egzekucja tego postanowienia rozgrywa się nie wyłącznie na terenie politycznym, ale w całem życiu prawnem ludności. Idzie bowiem o sądy. Rozporządzenie Prezydenta musi mieć opartą na Konstytucji moc ustawy, aby przez sądy było stosowane. Dlatego proponowane przezemnie postanowienie uważam za istotne i najważniejsze. Jest to jedyne lekarstwo na chorobę, która w obecnej dobie dziejowej trawi parlamentaryzm.

Władysław Leopold Jaworski.

Tchnienie z Hellady.

Tak się złożyło, że nie mogłem być na przedstawieniu Antygony w gimn. Zugmunta Augusta. Nic to jednak nie szkodzi w tym wypadku; rzecz wystawiono wyłącznie dla celów polonistycznych; nad sposobem ujęcia nie pracował żaden z filologów klasycznych; nie będę więc mieszał się do dziedziny, w której nie jestem fachowcem.

Natomiast, korzystając ze sposobności, że młodzież poznała dokładnie treść Antygony i jej relacje do literatury nowej, chcę uzupełnić zaznajomienie się z tem dziełem garścią uwag nad formą starożytną — dla pełni obrazu.

Bo literat dostaje i podaje pojęcie klasyczności zamknięte, wykończone, opakowane, z nalepką etykiety.

A ja powiodę młodzież moją do tej wulkanicznej pracowni, gdzie w zawrotnem tempie pędzą maszyny i koła i pasy i toczą się wzajem ku sobie i odskakują ku przeciwnym krańcom; tam wre szalona i rozbieżna, zdałoby się, praca tworzenia formy; tam ferment odurzający, z którego przecież miała się wyłonić doskonałość, klarowana harmonja i formy i treści, treść rozdymająca formę — tak soczysta i jędrna, a forma, uwypuklająca treść, sprawiająca, że to, co jest, jest tem, a nie czem innem.

Gdzież ta klasyczność? Przez całą Helladę czy płynie i Romę?

Gorzej: nam trudno ją znaleźć tam; tworzy się ona nieuchwytna.

Od prostej mowy homerowego starca, co mu słodsza nad miody z języka płynęła wymowa, w gruncie rzeczy nienauczna, więc na treści i garści szablonu oparta — przez Gorgiasa i Isokratesa płynie burzliwie do czysto formistycznej wymowy azjańskiej; obok mów Lysiasa, któremu „wierzyć się musiało nawet, kiedy kłamał", dla dziwnej prostoty wielce treściwego opowiadania. w tejże epoce klasyczności mamy Hegesiasa z Magnezji z jego zdańkami jedno- lub dwuwyrazowemi: czysty Bruno Jasieński. Szczera, naturalna liryka 7. i 6. wieku ma swoich następców w aleksandryjskiej formie, tak przeraźliwie czystej formie, że poemacik p. t. „Topór" złożony jest z wierszy, układających się w kształt topora. Kolosy Fidjasa nie są chyba z tej samej sztuki, co subtelne tchnienia genjuszu Skopasowego, jeśli już nie weźmiemy pod uwagę pierwszych prymitywów, zwanych Apollinami.

Egineci — i Laskoon! Cicero — i deklamacje, któremi zachwycał się Seneka starszy, oburzał Kwintylianus, tak formistyczne, że mowy tańczono wprost i śpiewano, jak świadczy wychowawca dzieci cesarskich.

A wewnątrz samej tragedji greckiej? Czy może przynajmniej jeden dział wolny jest od fermentów w nieskażonym spokoju klasyczności?

Gdzie tam! Wszakżeż, kiedy Ajschylos i Sofokles wiodą na scenę potężną Elektrę, królewską mścicielkę śmierci rodzica, w całej wielkości patosu, to dla rewolucyjnej przekory każe jej równie klasyczny Eurypides nosić wodę, jako żonie chłopa.

A koroną wszystkiego będzie notatka literacka u Hortiusa: „Talent że od nędznej zacniejszą rzecz uważa sztuki Demokryt, przeto spora ich garść nie ścina paznokci ni brody, na odludne chodzi miejsca i unika łaźni". (De arte poet. 295 i d.) Boże wielki! Toż to: Sturm- und Drangperiode! Więcej, niż romantyzm! I kiedy? Demokryt V w. przed Chr.! Wiek Sofoklesa i w Helladzie. Gdzież ta klasyczność?

Jak tu podejść do dzieła Sofoklesowego?

Wśród powodzi zagadnień — dla nas, klasyków pierwszem będzie nie, jak się tam przejawia ta przysłowiowo piękna forma klasyczna, ta forma, o której mamy pojęcie bezpośrednie z renesansu florenckiego, a tylko będziemy badać, jakie miejsce zajmuje dramat Sofoklesa w tym wielkim procesie fermentów, z którego się później wyłoni Wergilius i Horatius, a potem Filelfo, czy wielki kanclerz florencki Bo między tymi „klasykami" a klasycznym Sofoklesem jest jednak różnica.

Niema słów dość mocnych, któreby określiły to zjawisko, niebywałe w dziejach świata: wiek V. w Atenach. Jak po długim, mocnym, zdrowym i upojnym śnie na świeżem powietrzu wśród gór zerwała się Hellada w blaskach wschodzącego światła racjonalizmu, poczuła swą własną potęgę. „Wszech rzeczy miarą jest człowiek". I poczęła tworzyć z radością tych epok, które, zyskawszy nową ideę, jeszcze jej nie doprowadziły do przesady. To epoka wybuchów z podziemia wulkanów, co wyrzucają przeogromne głazy z siłą olbrzymów, które później opracować miał i poprowadzić do nienaganności mądry, ładzący duch rzymski.

Tragedja Ajschylosa i Sofoklesa, poczęta z świętej trójchorei nie jest traktatem renesansu, gdzieby trzynastoletni genjusz na zagadnieniu małżeństwa mógł wykazać swą „eloquentiam", wykwint stylu, a jest, jak cała epoka, tak ta tragedja posągową, jak posągowe są rzeźby Fidjasa, posągowe pieśni Pindarosa, posągowym Polygnot i wojny z Persami.

Na scenie otwartej i rozległej, nie znającej tam, które miał nałożyć porządkujący Rzymianin, co usunął dla ładu aktorów z parteru i zamknął na scenie kurtyną, zjawia się chór — w pierwszym rzędzie chór. Z chórów przecież wyłania się dramat, działanie w oczach naszych. (Znowu dopiero przekorny Eurypides, tak odpowiadający nowinkarzom racjonalistycznym, że Sokrates chodził do teatru tylko na jego dramaty, zepchnie zwolna chór do drugiego rzędu, do roli muzyki w antraktach, gdzie przemianowany na orkiestrę antraktową przetrwał jeszcze doniedawna). Działanie zapełnia przerwy i daje materjał pieśni głębokiej i uroczystej, przy wtórze nie bębnów i czyneli, tylko smętnego, wzmocnionego podwójną budową klarnetu, w melodji hieratycznej, — toż to nie przedstawienie, to — misterjum święte na cześć bogów ku rozpamiętywaniu ich mocy i sprawiedliwości, w melodji hieratycznej, pobożnej, tak pobożnej, że niema tam żadnych fidrygałek, które szaleniec wprowadza Eurypides, że jedną zgłoskę ciągnie się przez dwie nutki różnej wysokości, jak mu komponował zwarjowany Kinesias, z wiecznie rozstrojonym żołądkiem, — tak kpi z tych nowatorów Arystofanes. Na każdą zgłoskę jedna nuta — to powaga, to śpiew kościelny. Ujęte w formę znów świętego jeszcze tańca ruchy dopełniają reszty.

Na podwyższeniu, połączonem z chórem staje aktor na sztucznem wzniesieniu koturnów. „Grandes" je nazywa Horatius, a więc posągowe; w szacie nie realistycznej, tylko fantastycznej, tak długiej, iż kryje koturny, wzorzystej, znów monumentalnej. By twarz nie zniknęła, dostaje maskę, zakrzepłą w posągowym wyrazie bólu, z ustnikiem, chyba nie poto, aby go słyszano; akustyka świetna, wzmocniona sztucznie mosiężnemi naczyniami, zwanemi „echeia" podawała głos w zupełności. Ustnik maski miał tak spotężniać głos ponad miarę przeciętności, jak koturny i szata specjalna i pewnie ton patetyczny deklamacyj spotężniać miały całość do posągowości. Tam pewno symbol nieraz podnosił grozę w miejsce płaskiego rekwizytu, a kiedy zacny Dikaiopolis szuka łachmanów dziadowskich u Eurypidesa, to wskazuje tylko kpiarz nieśmiertelny na to, że wielką tragedję nowator ściągnął w błoto codzienności, realizmu, — realizmu, z którym posągowa, symbolistyczna forma Ajschylosa i Sofoklesa nic nie ma wspólnego; za to świętokradztwo zostać musi po śmierci w podziemiu, a wyprasza sobie stamtąd Arystofanes Ajschylosa.

Dodam, że potężną, posągową, a nie realistyczną jest i zbrodnia tragedji. Nie rozumielibyśmy inaczej, skąd takie rzeczy mógł wyroić mózg grecki, jak „saevam Pelopis domum" lub potworne zło, idące przez dom króla Ojdiposa. Zbrodnia i kara — a potem i treść i forma jest monumentalna.

Nie francuscy klasycy — a tylko romantyzm Wagnera monumentalny — oto dzieło bliższe Ajschylosa i Sofoklesa.

A pchnięcie przeciwne, dane przez Eurypidesa, potoczy dalej walkę, która wyda wreszcie z siebie szlachetny naturalizm czy naturyzm, jak to nazywa Staff w tłumaczeniu dzieła Mauchair'a o Florencji, który my, przepuszczony przez filtr klasycyzmu francuskiego, ujmujemy jako pojęcie pierwsze i ostatnie klasyczności.

Tyle w jak najogólniejszych zarysach.

Niechaj to będzie dla naszej młodzieży, nieznającej greckości, tchnieniem z Hellady i zachęci, by, korzystając z dobrej inicjatywy naszego zakładu, zapragnęła podchodzić do tych rzeczy także i od strony klasyczności.

Adolf Rożek.

Jak wyglądało skromne święcone przed 75 laty.

Zasłużony zbieracz przyczynków obyczajowych, Zygmunt Gloger przytacza następujący opis święconego w domu swych rodziców na początku drugiej połowy ubiegłego stulecia:

„Był w domu naszym pokoik narożny, niewielki, w którym na święta wielkanocne ustawiano święcone na dużych stołach, zasłanych białemi obrusami. Białe ściany tego pokoiku przybierano w świerkowe gałęzie, miłą woń lasu dające. Teraz przenoszono do tego przybytku z kuchni i spiżarni ciasta i mięsiwo. Więc najprzód dźwigały służące ostrożnie wysokie na łokieć walcowego kształtu baby szafranowe, przybrane w białe czepce z lukru, różnobarwnego maku i konfitur domowych. Ustawiono je w zwartym szeregu pod ścianami, jakby do boju, który miał się zakończyć ich poćwiartowaniem i spożyciem przez ludzi. U stóp ich leżały pokotem w drugim szeregu, niby wasale, placki pulchne a grube jak poduszki, wysadzane rzędami białych migdałów i czarnych wielkich rodzenków. Dalej szły słodkie mazurki jak kwadratowe kobierczyki, przybrane w lukier, mak kolorowy i agrest smażony.

„Oddzielny stół przeznaczony był dla mięsiwa. Tu królował postawiony na środku pieczony baranek, przy którego poświęceniu kapłan oddzielne odmawia modlitwy. Na wielkiej misie stos różnobarwnych i wzorzystych pisanek rozweselał obraz tylu ofiar świata zwierzęcego, poświęconych kwoli uroczystości dorocznej i niekłamanych apetytów wiejskich. Obok baranka czarna głowa potężnego wieprza, z uszami postrzępionemi nieco za jego życia przez kundle, trzymała w rozwartej paszczy białe jajko, przypominając zdala głowę negra z białemi zębami. Para rumianych prosiąt z zamrużonemi oczami i pozakręcanemi kokieteryjnie ogonkami, trzymających korzenie chrzanu w zębach, świadczyła, iż ofiarą tej rzezi wielkanocnej padali nietylko ojcowie, ale i niewinna ich dziatwa.

„Indory, które za życia tyle sprawiały na naszym dziedzińcu harmidru i okazywały buty, leżały teraz cicho, wykazując tylko, że były przed śmiercią przemocą utuczone a po śmierci nadziane.

„Stos kiełbas podobien był do węża skręconego w sto pierścieni z niewidzialną głową i ogonem. Mięsiwo przyozdobione było jak i ciasta gałązkami zielonego barwinku, a panował nad niem krzyż obrośnięty jasnozieloną, drobną, gęstą rzerzuchą, coroczny popis starego ogrodnika.

„Na ziemi stały kopanie z galaretą, z nóg wołowych przyrządzoną, oraz kosze z rumianemi pierogami, co wszystko przeznaczone było dla czeladzi, dla której kupiono dwa tuziny wielkich nowych misek, aby każdemu nadzielić czubatą porcję wszelkiego mięsiwa".

Tak wyglądała skromna zastawa wielkanocna w dworku szlacheckim przed 75-ciu laty, za owych „dobrych, starych czasów".

Na dzisiejsze stosunki takie święcone kosztowałoby chyba z 1000 złotych, na co nawet nie każdy ziemianin dzisiejszy mógłby sobie pozwolić, nie mówiąc o domach inteligencji pracującej, gdzie budżet świąteczny zamyka się kwotą kilkudziesięciu złotych.

Humor naszych ojców.
KIEŁBASA WIELKANOCNA.

I naliczyłem: kręgów siedem było...
Coraz to mniejsze ku środkowi biegły,
Kędy się jajko, jak wzgórek bieliło.
I na tych kręgach oczy moje legły,
I to wyznaję, że mi było miło
Widok tych kręgów oglądać rozległy.
O! bo nie były to piekielne kręgi,
Po których błądził Dant na dziwy lasy:
Były to złote, zrumienione wstęgi
Wędzonej, lśniącej litewskiej kiełbasy
I biegły po niej refleksy i pręgi,
A całość była niezrównanej krasy.

Garść wspomnień.
(Rok 1919)

...Kwiecień był wtedy zimny i przewałał po niebie kłęby chwilowych śnieżyc, przetkanych bladem słońcem. Ale w Wielki Piątek ociepliło się znacznie. Szłam ulicą Świętojerską, czując, jak po sercu przesunęła mi się jasna smuga na widok pierzchających we wszystkie strony obłoków i dalekiej błękitnej głębi, co nagle westchnęła wonnym podmuchem.

Skarciłam się za tę przelotną uciechę. Dokoła wszystko było takie brudne i szare! Kilkomiesięczne panowanie bolszewików zdołało zetrzeć wszelką radość z powierzchni naszego życia. Znikąd żadnej nadziei. Coś tam mówiono... szeptano... ale już w to wierzyć przestałam. Byłam bardzo głodna, więc z nagłą urazą spojrzałam na błękitniejące niebo. Co mi tam do pogody, kiedy muszę patrzeć na nędzę mojej rodziny, na małe siostrzyczki, które wyglądają, jak zielonawe trupki i koło usteczek mają nitki zmarszczek, niby kobiety, co już zaznały goryczy życia... A ten, który od paru miesięcy był moim mężem, po wydostaniu się z więzienia bolszewickiego, w szynelu, wiatrem podszytym i kudłatej czapie przedziera się przez zimne lasy ku Warszawie...

— Nie, to nie jest wesołe — myślałam, walcząc z chęcią do płaczu i na pociechę skręciłam wbok na ulicę Garbarską, aby odwiedzić moją rodzinę.

Zastałam dwie z siostrzyczek przy robocie. Zszywały jakieś amarantowe kawałki.

— To są chorągiewki na przyjęcie legjonistów! — wyjaśniła młodsza, poważnie i fachowo odgryzając nitkę.

— Powinni tu już być... Nie rozumiem! — mruknęła starsza... — Trzeba powiedzieć, żeby Mik nie jadł papieru, osioł taki! Żuje i żuje... — zaatakowała naszego najmłodszego.

— Niewiadomo kto gorszy osioł! — przyciął pierwszoklasista. — Muszę ostatecznie coś jeść. Mam zamiar doczekać lepszych czasów... to już niedługo — dodał tajemniczo.

— Nasza czwarta klasa przygotowuje niespodzianki... dla nich — znowu odezwała się swoim zabawnym basem starsza, zapominając o dokuczaniu Mikowi.

— A u nas to mają nawet dwa „lewolwery" — wypalił triumfująco nasz pierwszoklasista.

— Tę chorągiew to Mik zawiesi na bramie, jak tylko wypędzą bolszewików — zaszczebiotała młodsza.

— Już dwa razy właziłem... dla wprawy — wyznał malec, spoglądając nieco smętnie na rozdarte spodenki. — A ta dziura... to od złażenia — dodał uspokajająco w moją stronę...

Wyszłam ogrzana tą słodką, dziecięcą ufnością, ale gdy w nocy zostałam sama w swojem nowem, jeszcze nieprzytulnem mieszkaniu, zrobiło mi się ciężko, jak nigdy. Złą pamięć pozostawiło mi to mieszkanie. Nigdy nie chciało być ciepłe i gwizdało ironicznym wiatrem w piecu na widok kilku polanek, które miały ogrzać dwa duże pokoje... A w tym czasie wogóle zabrakło mi drzewa, więc mimo ciemności widziałam, czułam, jak w pokoju chłód gęstniał w dotykalną mgłę... Na dole hałasowali pijani bolszewicy i drętwiałam ze strachu na myśl, że jeden z nich gotów spełnić swą obietnicę zamieszkania w jednym z moich dwóch pokoi...

...A nazajutrz miała być Wielka Sobota... Nie chciało się w to uwierzyć... W ciemności zegar śpieszył mocno, dygotał niespokojnie, a za tapetami i pod podłogą chrobotały wiecznie zafrasowane myszy. Duży pokój, oświetlony na suficie odblaskiem dalekiej lampy z ulicy, wydawał się smutną, głęboką trumną...

— Wielka Sobota! — myślałam. — To chyba nieprawda! To takie niedorzeczne... Przecież Wielka Sobota zwyczajnie aż ocieka wiosenną radością?...

Po chodniku ulicy Bakszty łomotały ciężko wrogie kroki, na parterze coraz głośniejsza hulatyka bolszewików natrętną piskliwością harmonijki dręczyła znużone ciało... Każdy nerw boleśnie odczuwał hałaśliwe rzępolenie, więc westchnieniem ulgi powitałam zakończenie fałszywej muzyki... Wtedy błyskawicą strachu przedarł nocne ciemności nagły strzał... Podniosłam głowę... Ale potem była już cisza... I w ciszy zdaleka posłyszałam powolne bicie zegara. Uderzał dwunastą... A więc jednak Wielka Sobota?... Usnęłam...

— — — — — — —

— Któż to się dobija do bramy? — myślałam sennie, nie chcąc oczu otworzyć.

Ale sen ulatał, bo ciszą wstrząsało regularne, suche łomotanie.

Usiadłam na łóżku. Wstawał szary, zimny świt. Szyby omgliły się niby przelotnym deszczem...

— Powarjowali, czy co? Wstać chyba?

— Tak... tak... tak... tak... tak... — odpowiedziała zawzięcie rozdygotana przestrzeń za oknami. Wydało mi się, że serce mam w gardle...

— To nie łomotanie w bramę... To jakby... O, Boże! Boże!... — przycisnęłam obie ręce do ust w nieopisanej rozterce.

— Bolszewicy mogli się popić i strzelają — starałam się zasłonić przed rozpaczą nowego zawodu. Pod ścianami domu przebiegały w szalonem tempie kroki dudniące przerażeniem. Wyskoczyłam z łóżka. Znalazłam się przy oknie. Ulica była pusta, a tak mi się wydawała jakby przyczajona do nagłego skoku na zakręcie. Coś zaczerniało przy murze. Skradał się jakiś człowieczyna.

— Panie! Panie! — krzyknęłam przez lufcik. — Co to jest? Czy to strzelają?

Ten stanął jak wryty.

— Ot ja przestraszył sia, nie daj Boże! Czort ich wie, paniutka. Mówio, co jakieści Niemcy przyszli. Wszystkie bolszewiki z naszego domu polecieli na złamanie karku. A co jest, i nie rozbierzesz!

— Niemcy? Jak? Gdzie? Nie może to być — zdecydowałam. Skądże tu Niemcy?

Dygotałam z zimna, nie chcąc odejść od okna. Ale w podwórzu rozległy się krzyki, gdzieś trzaskano drzwiami i tuż pod oknami drugiego pokoju padł krótki, suchy strzał. Zaczęłam się ubierać. Wszystko mi z rąk leciało w pośpiechu, bo hałas na dole stawał się coraz większy. Potem jednak głosy zaczęły się oddalać wgłąb, w stronę ogrodów, przytykających do naszego podwórza. Postanowiłam wyjść z domu. Przedtem na jedną chwilę podbiegłam do okna od ulicy. Tam skamieniałam z wrażenia. Na pustym bruku zadzwoniły pewne, żołnierskie kroki i oto przed oczyma wyrosły mi dwie młodzieńcze postacie w mundurach, rzeczywiście przypominających niemieckie. Z karabinami w rękach, z wyrazem skupienia w opalonych twarzach szli naprzód... Na czapkach... na czapkach coś się srebrzyło...

— O, mój Boże! — krzyczałam, wychylona przez lufcik. — Panowie! Kto jesteście? Polacy?

Podnieśli głowy, nasrożeni i jeszcze nieskłonni do uśmiechu.

— Polacy! — odkrzyknął jeden. — A panna nie wyłaź z okna. Tu nie teatr.

— Chwileczkę! — krzyczałam. — Jesteście więc legjoniści?

— Nie! — wrzasnął drugi. — My są wojsko polskie. Dziadek kazał, żebyśmy się nazywali wojsko polskie, to i szluss... No i serwus, panienko! Już cię nima!

Już mnie nie było! Leżałam na podłodze pod oknem, wstrząsana gwałtownem łkaniem. Kto nie doznał burzy radosnego płaczu, zmywającego rozpacz długiej niedoli, nie wie jak kilka takich minut może skondensować w nagłym serdecznym skurczu całe życie ludzkie.

Płacze się, że to życie jest aż tak piękne... Że się nie jest godną... Że się zanadto myślało o własnem szczęściu, a to przecie takie głupstwo... Że już nigdy, nigdy się nie zwątpi. I żeby umrzeć!... Bo to zanadto piękne. Bo trzeba coś oddać wzamian...

— Tak... tak... tak... tak... tak... — niecierpliwiła się suchem szczękaniem wezbrana w tej chwili tajemnicą przestrzeń za domem.

Powoli odpływała fala gorącego płaczu. Pod czaszką zakiełkowała ciekawość... W sercu zbudziły się nagłe pragnienia. Zamierało nadziemskie uniesienie. Wstawało zwykłe, ruchliwe, radosne młodzieńcze życie. Zerwałam się z podłogi. Zbiegłam po schodach na podwórze.

— Paniczka! Legjony! — wrzasnęła brudna stróżka, siąkając nosem ze wzruszenia.

— Wiem! Wiem! — odkrzyknęłam radośnie. — A co tu u was na podwórzu się dzieje?

— Toż bałszewiki, żeby ich kolka! w naszym sadzie byli pochowawszy sia... Ach jej! Nie, już znowu pojawili sia?! Uciekaj, paniczka, a to zastrzelo!

Z za muru ukazały się dwie mocno pomięte postacie w baranich czapach i z bagnetami w rękach. Twarze mieli skrzywione i niespokojne oczy. Garstka gapiów podwórzowych zemknęła w jednej chwili. Jeżeli nie uciekłam, to tylko dzięki pewnemu roztargnieniu z mojej strony. Po chwili było już za późno. Więc musiałam być odważna... ze strachu.

— Uciekajcie! Udirajtie! — poradziłam im, machając ręką w stronę ogrodów. — Tutaj legjoniści.

— Niekuda! — wyznał jeden rozkudłaniec. — Kudy!?

— Schowajcie nas, barysznia! — nalegał drugi.

Wstąpiła we mnie odwaga w całej pełni.

— Nie mogę was schować! Znalezionoby was i rozstrzelano. Najlepiej poddajcie się.

— Zastrzelą! zamęczą! — chlipnął nagle razklekotany najzupełniej „towarzysz".

— Gadanie! Kto was zamęczy? Jesteście jeńcy wojenni — pouczyłam ich stanowczym głosem.

— Oj, straszno! — biadał starszy, oglądając się z zaniepokojeniem, gdyż spłoszeni gapie powoli wracali na stanowisko.

— Poczekajcie! — powiedziałam w nagłem natchnieniu. — Możecie mnie się poddać. Oddawajcie karabiny.

Usłuchali chętnie. Ugięłam się pod ciężarem niewygodnej do noszenia broni.

— Otworzyć bramę! — skomenderowałam w stronę osłupiałej stróżki.

Mój „pedagogiczny" ton, świeżo nabyty w szkołach, wydał tu owoce. Bramę otwarto.

— Za mną! — powiedziałam do bolszewików, trochę już wystraszona, bo odpowiedzialna za losy swoich brańców.

Wyszliśmy. Przestrzeń ciągle dygotała i szczękała, niby jakiemś uporczywem pytaniem. Odpowiadały jej z drugiej strony głośniejsze pojedyńcze wystrzały. Koło ucha rozległ się przenikliwy świst. Ze ściany odpadł kawałek tynku. U wylotu ulicy Bakszty na Wielką skupiła się gromada ludzi. Szłam w tę stronę, sunąc po chodniku kolbami ciężkich karabinów. Dwie znajome postacie z bagnetami w ręku odwróciły się ku mnie, spoglądając z pewnem zdumieniem na osobliwą grupę.

— To są bolszewicy — przedstawiłam chłopcom swoich brańców. — Poddają się... Proszę im nic złego nie zrobić — zastrzegłam natychmiast.

— Parada! — roześmiał się niższy żołnierz. — To panna wyłazi przez lufcik, to łapie bolszewików...

EDGAR WALLACE.

Klątwa starych bogów.

Niesamowita zagadka grobowca Tutankhamena — Śmierć czyha na każdego, kto tam wszedł.

Głośny angielski autor powieści kryminalnych Edgar Wallace zamieścił w „Berliner Illustrierte Zeitung" niezmiernie interesujący szkic o tajemnicy grobowca Tutankhamena i o fatum, jakie nieubłaganie prześladuje wszystkich, którzy mają cośkolwiek wspólnego ze sprawą tego grobowca.

Tłusty dragoman siedział na miejscu, z którego wygodnie mógł obserwować prace ekspedycji lorda Carnarvon'a. Tępem spojrzeniem patrzył na procesję fellahów od i do na pół odkopanej furtki do grobowca Tutankhamena, a od czasu do czasu rzucił wzrokiem w stronę nielicznej grupki Europejczyków kierujących pracami przy odkopywaniu grobowca. Wreszcie zwrócił się do swego mocodawcy, korespondenta nadzwyczajnego pewnego wielikego dziennika londyńskiego i rzekł:

— „Znajdą tam złoto i śmierć".

Zdumiony dziennikarz zapytał, dlaczego tak sądzi.

Dragoman skręcił papierosa między tłustemi palcami: „Ponieważ starzy bogowie egipscy żyją. Ten tutaj" — rzekł, wskazując na odkopywany grobowiec — „był niewiernym. Za późno wrócił do starych bogów i obraził tego, który jest największym bogiem pomiędzy bogami, Amon-Ra'a".

Dziennikarz powtórzył przepowiednię lordowi Carnarvon. Lord nie śmiał się z tego. Był to człowiek bardzo rozsądny i nie mający w sobie nic z sentymentalności. Z zamiłowaniem oddawał się hodowli koni wyścigowych. Znałem go przelotnie i kilka razy miałem sposobność rozmawiania z nim. I zawsze odnosiłem wrażenie, że mam przed sobą człowieka, którego najwybitniejszą zaletą jest „commonsense", to, co Anglicy nazywają zdrowym rozsądkiem ludzkim. Gdy przestrzegano go przed niebezpieczeństwem, jakie może grozić przy otwarciu grobowca, rzekł bardzo poważnie: „Przyznaję że taka rzecz jest możliwa".

Według tradycji egipskiej nieszczęście kryje się tylko w tych grobowcach, w których spoczywają ludzie, którzy za życia obrazili bóstwa. Tutankhamena pochowano z najwspanialszym przepychem i śród największych uroczystości. Ale księgi śmierci nie włożono do jego trumny, ani też nie umieszczono żółtomalowanego obrazu Amon-Ra'a na dziobie okrętu, na którym zmumifikowane zwłoki faraona wieziono na miejsce wiecznego spoczynku. Nie umieszczono także wpobliżu jego grobu posążków Tem, Sku, Tefnut, Seb, Nut, Ozirís, Iris, Suti i Neftys, politurowanych olejem cedrowym, a bogini pokoju nie miała dostępu do jego zamkniętego grobowca. Tylko wielki niepokój i straszne, groźne przeczucie zła weszło do cichych komnat mauzoleum. Albowiem mimo, iż Tutankhamen przed śmiercią wzywał wypędzonych bogów a nawet zmienił swoje imię, aby przebłagać, bogowie, którzy czuwają u wrót piekielnych, pozostali obrażeni, a przekleństwo ich zemsty unosiło się nad ciemnym lochem, w którym spoczywało zabalsamowane ciało niewiernego króla.

Pewnego dnia dowiemy się, że duch ma swoje namacalne kształty i że miłość i nienawiść są tak samo materjalne, jak materjalne są promienie słońca. W dniu tym przekonamy się, że mity i baśnie, które uważamy za płody fantastycznej przesady egzaltowanych kapłanów, mają swoje straszliwe uzasadnienie w trzeźwych faktach. Nienawiść nie unosi się może nakształt chmury nad doliną królów, ani też nie stoi w niewidzialnej groźnej postci na straży misterjów zmarłych, niemniej jest tam, jako czynnik odczuwalny i niedający się usunąć.

Ukryci pod potężnemi pokładami piasku, śpią liczni dobrzy i łagodni królowie, kapłani i namiestnicy, umiłowani przez bogów. Ale musi być także wiele grobów przeklętych. Nawet bardzo uświadomieni, chłodno myślący mężowie nauki odnosili się z wyraźną niechęcią do poszukiwań na cmentarzach egipskich. Tacy ludzie nie wierzą w strachy, ale nie wykluczają istnienia fenomenów psychicznych. Istnieją mężczyźni i kobiety wnoszący do każdego domu i do każdego pokoju, do którego weszli, atmosferę radości i pogody, albo przeczucie nieszczęścia. Nikt w to nie wątpi. Ale tajemna siła, która rządzi temi fenomenami stanowi do dzisiaj tajemniczą zagadkę. W grobowcu Tutankhamena znajdowała się siła, która przynosi śmierć.

Na czele grupki Europejczyków, którzy kierowali pracą fellahów przy odkopywaniu grobowca Tutankhamena, stał Lord Carnarvon. Bawiąc w Egipcie przez kilka zimowych miesięcy zajął się odszukaniem miejsca, gdzie pochowany został z ponurym przepychem, dziwny, młody król. Carnarvonowi towarzyszyli Howard Carter, jego sekretarz Dick Bethell, archeolog francuski Benedite, kierownik muzeum wykopalisk w Kairze, oraz M. Pasanova. Z pośród tych ludzi jeszcze tylko jeden jest przy życiu.

Gdy grobowiec odkopano, pojawili się jeszcze dwaj dalsi członkowie ekspedycji. Jednym był pułkownik Aubrey Herbert, przyrodni brat Carnarvona, drugim Evelyn-White. Gdy AubreyHerbert znalazł się w lochu, otrząsnął się i stanął na miejscu: „Dałbym wiele za to, gdyby Carnarvon nie był znalazł tego grobu. Mam przeczucie, że w naszej rodzinie stanie się coś strasznego". Nie minął rok, a umarł.

Gdy wyłamano drzwi do grobowca, Carnarvon wkroczył tam pierwszy z uśmiechem i dowcipnem słowem na ustach. Lecz Artur Weigall, pisarz i znawca misterjów staroegipskich, potrząsł głową:

„Wolałbym, żeby się nie był śmiał — zanim minie sześć tygodni, umrze".

Ledwie Carnarvon przekroczył próg grobowej komnaty, ukłuło go coś w policzek. Ktoś rzekł, że to komar, zbadawszy ledwie dostrzegalny ślad ukłucia. Tymczasem Carnarvon zmarł, zanim jeszcze zdołano zbadać cały grobowiec i wydobyć na światło dzienne wszystkie jego skarby. Prawda, że uchodził za człowieka chorego — ale chorym był od wielu lat, a w tym czasie zniósł niejedno znacznie gorsze i niebezpieczniejsze ukłucie i ukąszenie. A tu komar, jeżeli to wogóle był komar, przyniósł mu śmierć.

Evelyn-White, egiptolog i uczony, zmienił się do niepoznania od tego dnia. Jakby opętał go jakiś tajemniczy demon. Przyjaciele nie poznawali go. Zdawał się ciągle myśleć nad czemś i godzinami wiódł rozmowy z samym sobą. Gdy proszono go, aby opisał wnętrze grobowca, krzywił się boleśnie i zmieniał temat rozmowy. Po kilku miesiącach popełnił samobójstwo. „Zawisło nademną przekleństwo" — napisał w swoim liście pożegnalnym.

Władze egipskie poleciły słynnemu radjologowi Archibaldowi Douglasowi Reed, dokonać prześwietlenia promieniami Roentgena mumji króla. Nie upłynął rok czasu, Reeda nie było już między żyjącymi.

Profesor Laffleur z uniwersytetu Mac Gill był pierwszym z uczonych amerykańskich, którzy badali wnętrze grobowca. Gdy wyszedł z grobowca na światło dzienne, ręka śmierci spoczęła nad nim. Opuścił Egipt w trumnie.

Umierali tragicznie i śród tajemniczych okoliczności mężowie młodzi i starzy, mężowie w sile wieku, mężowie których przyjęłoby każde towarzystwo asekuracyjne, licząc im najniższą stawkę. Z tych, którzy pierwsi weszli do grobowca, żyje jeszcze tylko jeden Howard Carter.

Z pośród robotników, zatrudnionych przy odkopywaniu grobowca, prawie wszyscy, którzy weszli do śmiertelnych komnat lub spojrzeli na twarz mumji królewskiej, zmarli. Jaki jest powód ich śmierci? Czy może powietrze było zatrute w lochu? Wzięto próbki tego powietrza i poddano analizie. Stwierdzono, że wolne jest od wszelkich bakteryj i domieszek trujących, jakie tylko stwierdzić można przy pomocy mikroskopu i doświadczenia chemicznego. Czy może znajdowała się trucizna w bronzach i złocie, którego ci ludzie dotykali rękami? U żadnego z nich nie znaleziono najmniejszych ran ani skaleczeń na rękach. Lord Carnarvon sam nigdy nie dotknął żadnego przedmiotu bez rękawiczki.

Klątwa nazwiska nad nimi—klątwa faraonów, klątwa kapłana najwyższego, który zapieczętował grób i za późno bogom powierzył opiekę nad zmarłym. Amon-ra jest zazdrosnym i mściwym bogiem.

Tutankhamen był przeklęty. Wprowadził za swego panowania nową religję, urągał starym bogom, a gdy zmarł, kapłan najwyższy Ay zgodnie z nakazem tradycji udał się do drzwi jego grobowca i modlił się do starych bogów. Niedługo potem zmarł, a nikt nie wie, gdzie jest jego grób.

Szyderstwa dynastji Tutankhamena zwracały się szczególnie przeciw Amon-Ra. Ten odwieczny bóg — „potęga słońca"—zwany, najpotężniejszy z pośród wszystkich bogów egipskich, został ośmieszony. Lud egipski i niewolnicy przypisywali wszystkie nieszczęścia, które spadły na dynastję Akhunatów i na kraj za jej panowania, zemście tego boga. I temu przypisują także i obecne nieszczęścia — i to nawet mężowie, którzy zdobyli sobie naj głośniejsze nazwiska w świecie nauki.

„Nieszczęście" — rzekł jeden z pośród nich — „nie jest dziełem przypadku. Jeżeli dotknąć się naczynia z farbą, pobrudzi się palce. Przypadkiem jest to, że farba znajdowała się na tem miejscu, którego dotknęły wasze palce — ale wasze pobrudzone palce są logicznem i nieuniknionem następstwem waszej lekkomyślności".

Sławny Dr. Mardus był tak głęboko przekonany, że otwarcie grobu Tutankhamena przyniesie nieszczęście że przepowiedział uczestnikowi ekspedycji Benedite'owi śmierć. „Od 7 tysięcy lat Egipcjanie posiadają tajemnicę chronienia swoich mumij przy pomocy tajemniczej siły dynamicznej, o której mamy tylko słabe pojęcie".

Siedmiu francuskich pisarzy i dziennikarzy zwiedziło grobowiec. Sześciu z nich zmarło w ciągu dwóch najbliższych lat. Gdy zdjęto zasłonę z twarzy Tutankhamena, znaleziono na niej bliznę. Taką samą bliznę widziano na twarzy Carnarvona gdy zmarł. W dniu otwarcia grobowca weszła do mieszkania Howarda Cartera kobra, najświętszy wąż starego Egiptu, i zabiła jego ulubionego kanarka, z którym uczony badacz nie rozstawał się nigdy w czasie swoich podróży. A trzeba wiedzieć, że kobra należy do gatunku wężów, spotykanych w Egipcie bardzo rzadko.

Woolf Joel, syn Mr. Solly Joela, zwiedził grobowiec i zmarł, zanim rok się skończył. Jay Gould, amerykański król kolejowy, zaniemógł w komnacie grobowca i zmarł. Niema ani jednego wyjątku: każdy kto wszedł do grobowca, stał się ofiarą tajemniczego fatum. Zemsta Amon Ra'a jeszcze nie jest nasycona. Nawet największy pesymista musi przyznać, że jest to już więcej niż przypadek, jeżeli katastrofa spadła na każdego, kto chociaż dotknął się przedmiotu, pochodzącego z grobowca. Rzeczy, które złożone zostały w muzeum w Kairze, wywarły swój wpływ. Funkcjonarjusze muzeum, którzy stykali się z temi przedmiotami skutkiem spełniania swoich obowiązków, zachorowali i pomarli na jakąś nieznaną chorobę. Lekarze starali się wprawdzie w każdym wypadku stwierdzić naturalne przyczyny śmierci, ale djagnozy ich nikogo nie przekonały. — „Każdy milimetr tego grobowca należało oblać naftą i spalić!" — Tak powiedział niejakiś strachajło zabobonny, lecz człowiek który zajmuje wybitne stanowisko w nauce. Ja również nie należę do zabobonnych. Wierzę jednak, że grobowiec Tutankhamena stawia nas wobec fenomenów, które objaśniać przypadkiem byłoby naiwnością, a nazywać czarami głupstwem.

—oo—

Mussolini i parlament.

(Korespondencja własna)

Rzym, 12 kwietnia 1930 r.

Garstka osób czeka cierpliwie i grzecznie u wejścia, wiodącego do trybun dla publiczności w Izbie Deputowanych. Każdy trzyma w ręku bilet wstępu, którego kolor zależny jest od względów i wpływów tego, za którego pośrednictwem został uzyskany. Wraz z nami czeka agent policji w cywilu. Liczba ich zwiększa się zwolna. Każą nam przygotować paszporty. Wreszcie drzwi się otwierają i wchodzi się, legitymując się szczegółowo długiemu szeregowi agentów, karabinierów i straży parlamentarnej.

Jedną z cech — i to cech zazwyczaj sympatycznych — charakteru włoskiego, jest pewien liberalizm kulturalny, niedbały i ironiczny w traktowaniu form i przepisów. Mieści się w tem upraszczanie i udogadnianie życia innym, a przedewszystkiem sobie. Jednak do gmachu parlamentu cecha ta nie ma przystępu. Włada tu rygor i pedantyzm, któremu można nadać nazwę niemieckego. Włoch do wszystkich lokali wchodzi w kapeluszu, pali wszędzie bez względu na to czy wolno czy nie, i rozmawia głośno przy akom panjamencie wyrazistej i obfitej gestykulacji. Tutaj każdy jak najpotulniej składa okrycie w garderobie a zasiadłszy na trybunie dla publiczności, rozmawia szeptem. Znajdujemy się w siedlisku i szkole nowej, twardej dyscypliny. Odnosi się wrażenie, że w gmachu tym nikt — z wyjątkiem jednego człowieka — nie czuje się pewnie i swobodnie. Może jeszcze starzy woźni parlamentarni, kłaniający się po rzymsku, czują się najpewniej. Posłowie — de facto delegaci partji faszystowskiej, wyznaczeni przez Wielką Radę stronnictwa, która ze swej strony działa w myśl poleceń Mussoliniego — wchodzą cicho, bez ostentacji.

Już wszedł prezydent, nie we fraku jak w parlamencie francuskim, lecz w czarnym tużurku, i cicho, biurokratycznie otworzył posiedzenie. Zapełniły się i ławy ministerjalne, dwie ławy przed fotelem prezydenta, frontem zwrócone ku rzędowi ustawionych anfiteatralnie ław poselskich.

W samym środku drugiej ławy ministerjalnej, wyższej od pierwszej, znajduje się fotel podwyższony, rodzaj katedry, ulokowanej między ławkami uczniowskiemi. Dopiero po chwili spostrzegam na tem miejscu człowieka mocnego, krępego, o czaszce dużej, masywnej, brutalnej, o mocnych, wystających szczękach. Wszedł pocichu, lecz na pierwszy rzut oka widać, że on jest ośrodkiem wszystkiego, co się tu dzieje, że jest reżyserem, nauczycielem i gospodarzem. Mussolini.

Ku niemu nachylonemu nad papierami, wznoszą się w powitaniu dłonie mówców wchodzących na trybunę. Do jego uszu skierowane są słowa przemówień, ku niemu zwracają się oczy. Słucha, czy nie? Czy zadowolony, obojętny lub może zniecierpliwiony? Ku jego dłoniom po skończonem przemówieniu zwracają się oczy słuchaczy. Czy należy klaskać, jak długo i jak mocno? Sąsiedzi jego, ministrowie, przypatrują mu się z uwagą. Czy można wtrącić słowo, uwagę, żart, wszcząć rozmowę? Woźni parlamentarni, przynosząc mu co chwilę akty i papiery, są najbardziej spokojni i pewni siebie. Z ministrów p. Italo Balbo, minister aeroneautyki, której budżet stanowi właśnie dziś przedmiot obrad i którego przemówienie za chwilę uzyska oklask wodza, najpewniej patrzy mu w oczy, jak prymus, pewny względów nauczyciela, najczęściej zwraca się doń z żartobliwą, badawczą uwagą. P. Balbo jest dawnym towarzyszem broni, był kwadrumwirem w marszu na Rzym, jeden z najzaszczytniejszych tytułów w obozie faszystowskim.

Mussolini, korpus ciężki, mocny i prymitywny, jak z obrazu Hodlera, nie rusza się z miejsca. Wzywa do siebie ministrów w miarę potrzeby, a ci podchodzą i nachylają się. Oto któremuś z ministrów cisnął akt. Papier nie doleciał. Któryś z ministrów schylił się i podaje.

Cechą główną tego człowieka, siedzącego na symbolicznem podwyższeniu, jest naprężona ustawicznie energja, niepozwalająca sobie — czy nieumiejąca sobie pozwolić — na moment odprężenia. Inni wokoło niego mają czas. On go nie ma. Przegląda akty, zaopatruje je uwagami, pisze, a jeżeli mówi z kimś, to nie rozmawia lecz wydaje polecenia. Czasem, założywszy ręce na piersiach, słucha przez chwilę mówcy, ustala w ten sposób hierarchję osób i spraw, bada kwalifikacje, notuje w pamięci stopnie. Za chwilę znów się pochyla nad aktami. Człowiek, siedlisko nadzwyczajnej, nadnormalnej, nienormalnej aktywności. Człowiek, który nie widzi równych wokolo siebie — inni się z tem godzą — i symbolicznie, plastycznie to podkreśla.

Nagle wstaje i zwolna, żegnany przez szpaler dłoni wyciągniętych, wychodzi. Posiedzenie, pozbawione ośrodka, przestaje być interesujące. Kończy się po trzygodzinnych obradach. Posłowie wrzucają kulki do przygotowanych skrzynek — jest to głosowanie równoczesne nad budżetami kilku ministerstw. Rozchodzą się, nie czekając na wynik. Wiadomo zgóry, że głosy wszystke padną „za".

Parlament włoski nie jest siedliskiem krystalizującej się woli zbiorowej. Nie jest nawet klubem dyskusyjnym. Jest to trybuna, z której „góra" — jeden człowiek i jego pomocnicy— rzuca w dal rozkazy, komentarze do nich, z której uprawia propagandę. Stacja nadawcza, nie odbiorcza. Mowy do słuchaczy niemych, choćby nawet zabierali głos. Jeden wielki aktor w wielkim tłumie statystów.

Wł. Jam.

Pisanki wielkanocne.

Zwyczaj dzielenia się święconem jajkiem w czasie świąt Wielkanocnych należy do bardzo dawnych i wywodzi się ze zwyczaju z czasów pogańskich, gdy oddawano cześć siłom natury, a jajko, będące symbolem życia w zarodku, składano w ofierze bogowi — słońcu. Równie dawnym jest zwyczaj malowania jaj wielkanocnych, który do dziś rozpowszechniony jest prawie na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej. Istnieje kilka zasadniczych typów pisanek zależnie od dzielnicy kraju: jedne, bez żadnych wzorów utrzymane w jednej barwie, zowią się malowankami lub z ruska kraszankami; inne mające na jednobarwnem tle wyskrobane ostrem narzędziem nieskomplikowane wzory nazywają się skrobankami, i wreszcie najbardziej artystyczny typ, będący właściwą pisanką utrzymany bywa w kilku barwach i posiada nieraz bardzo bogate motywy zdobnicze. Najpiękniejsze są pisanki huculskie, utrzymane zazwyczaj w kilku kolorach i posiadające bardzo oryginalne, przeważnie geometryczne motywy, choć zdarzają się też motywy roślinne i zwierzęce wykonane z prawdziwym talentem, o jaki trudno zaprawdę byłoby podejrzewać spracowane dłonie wieśniaków huculskich. Pisanki wielobarwne sporządza się w następujący sposób: przedewszystkiem kreśli się na jajku już ugotowanem gorącym woskiem tę cześć wzoru, która ma pozostać białą następnie zanurza się jajko w najjaśniejszej z wybranych farb, wskutek czego zabarwi się ono całe, za wyjątkiem miejsc pokrytych woskiem. Zkolei oznacza się następną część wzoru, która ma pozostać w tym pierwszym kolorze i powtórnie zanurza się w innej farbie, coraz ciemniejszej. Gdy już cały wzór zostanie wykonany, wówczas wkłada się pisanki do gorącego pieca, gdzie wosk stopnieje, poczem gotowe już pisanki wyjmuje się z pieca i dla nadania połysku pociera się tłuszczem.

No... no! Chodźcież tu, „towarzysze" cholerne!

— Proszę też zabrać te rzeczy — mówiłam zadyszana.

— Bierz, Antek, „rzeczy"! — parsknął żołnierz.

Zadowolona z pozbycia się niewygodnego oręża, poruszyłam zdrętwiałemi palcami, kiwając głową na pożegnanie osowiałym bolszewikom.

— Nic wam nie będzie! Przynajmniej was nie zabiją — starałam się ich pocieszyć wspaniałomyślnie.

Gdy mówiłam te słowa, z gromady gapiów, stojących na chodniku, wyszła jejmość w czarnej chustce i zbliżywszy się do moich brańców, wycięła jednemu z nich ciężki policzek. Ten aż się zatoczył.

— To za nasza krzywda, psia twoja mać! Czego wy tu naleźli, cholery nieoskrobane!

— Co pani wyrabia? — krzyknęłam zrozpaczona. — Oni się poddali.

Jejmość usunęła mię z drogi i mocną pięścią zdzieliła w kark drugiego z bolszewików.

Tu wtrącili się żołnierze.

— Co się tu matka będzie rozbijała, jak w kurniku? — wrzasnął któryś.

— Wstydziłaby się pani! — wołałam. — Nie można bić bezbronnych.

— Widzieliście! Inteligentka! A kiedyż ty jego bić będziesz? Niejuż jak ze sztykiem chodzi? Musi sama bolszewiczka będziesz, kiedy ich tak żałujesz? a?

Daleki tętent przerwał wywody jejmości... Rzuciliśmy się w tamtą stronę. Właśnie ułani zeskakiwali z koni, ustawiając się koło cerkiewki i poczty. Pchałam się naprzód, zapominając o wszystkiem. Pchali się i inni.

— Nie można! Nie można!—krzyczeli żołnierze. — Tam dalej bitwa.

— Gdzie bitwa?

— Koło Cielętnika?

— Czy Zawalna już wolna?

— Ach, Bóżeczkaż ty nasz! Legjony!

— Nasi, nasi!

— Na Wielkanoc przyszli! Na święta.

— Widzieliście? Jeńców prowadzą...

— A niechaj ich!... Nie odziawszyś ido.

— Musi nie pośpieli?

— A babyż to! Baby jakie na nich zajadłe!...

— Proszę iść do domów! Tu niebezpiecznie! Strzelają do nas i z okien! — krzyknął oficer do tłumu.

— A niechaj, panoczek, i strzelajo... Jak komu sądzono! — powiedział ktoś filozoficznie.

— Tu jest komenda wojskowa! Nie gadać! Do domu! — huczał podporucznik, rzucając koniem we wszystkie strony.

Nie poszłam. Zresztą nie słuchał nikt. Wszyscy parli za żołnierzami, gotowi do wszelkich usług... Trzeba było przecież patrzeć na nich, żeby wierzyć. Gdy wbiegałam na chwilę do domu, szukając coś do zjedzenia, daleki trzask karabinów wydawał mi się ponurem zapadaniem wieka trumny nad nami. Im bliżej wieczoru, tem smutniej mi się robiło na sercu. Elektryczność zgasła. Czarne miasto warkotało groźnie. Kotłowała się przestrzeń. Byłam odcięta od rodziny, sama. Poddałam się rozpaczy, wiedząc już, że w Wilnie jest tylko garstka konnicy... Że piechota wciąż nie nadjeżdża... Że bolszewicy skupili się i odzyskali ducha po pierwszej sromotnej porażce, po wichrowej szarży ułanów na senne miasto. Nie wiem, która to była godzina, kiedy, skulona na fotelu, podniosłam ciężką głowę, wsłuchując się w dalekie odgłosy. Były poważne, nakształt gromu, toczącego się po chmurach. Armaty? Czyje? Ach, polskie, napewno polskie! Czułam, wiedziałam... To nadeszły posiłki... Ta nagła pewność pozwoliła mi usnąć spokojnie aż do świtu.

— — — — — — —

Nazajutrz był pierwszy dzień Wielkanocy. Chcąc przedostać się do Ostrej Bramy, mało sobie ważyłam kule, gwiżdżące dokoła. Już się zdążyłam przyzwyczaić. Ale innego zdania była gromadka ułanów, którzy, zeskoczywszy z koni, przywarli do muru, strzelając w okna przeciwległego domu. Trafiłam między dwa ognie, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

— Precz! Precz! — krzyczał jeden z wojaków.

— Czego ten się drze? — pomyślałam zaniepokojona.

— Zmykaj panna do ciężkiej cholery! — wytłumaczył mi grzecznie leżący pod murem czarnowłosy ułan.

— Gdzie mam zmykać? — wzruszyłam ramionami, ale przejmujące gwizdanie zmusiło mię do cofnięcia się o parę kroków.

— Do domu! Proszę wracać do domu! — wrzeszczał zdenerwowany dowódca.

— Dobrze! dobrze! — odkrzyknęłam, machając ręką i poszłam szukać szczęścia w innym kierunku. Byłam bardzo głodna, ale zdecydowana, że zostanę na ulicy, tem bardziej, że w domu nie miałam już nic do jedzenia.

Idąc groźną w tej chwili ulicą w stronę frontu bojowego, co się posuwał już bliżej Świętojerskiej razem z tłumem natarczywych gapiów, z których niejeden został mocno poszkodowany, potrąciłam jakiegoś żołnierza.

— Ach, przepraszam — rzekł wojak niewyraźnie, starając się zębami zacisnąć supeł na ranionej i obandażowanej prawej ręce. Zatrzymałam się, aby mu dopomóc.

— Głupstwo, nic mi nie będzie... Dziękuję panience. Właśnie mam zamiar coś zjeść... Zafasowałem sobie kiełbasy i chleba.

Przełknęłam ślinę, nic już nie mówiąc. Nawet zapomniałam, jak wygląda kiełbasa. Żołnierz spoglądał na mnie dobrotliwie.

— Możeby panienka też coś zjadła? Mówię tak na oko. Coś mi na to wygląda.

— Nie jestem panienka — odrzekłam wymijająco i z godnością.

— O, rany boskie! — zmartwił się żołnierz obludnie. — Ale pani chyba nie porzucił?...

— Co takiego? Kto mnie miał porzucać? Mąż mój uciekł do Warszawy... Był ranny pod Wilnem w walce z bolszewikami i więziony...

— Wobec tego koniecznie należy coś przekąsić — zdecydował młodzieniec, wręczając mi kawał kiełbasy z chlebem.

— Bardzo panu dziękuję — powiedziałam, zwyciężona smakowitym zapachem i w najlepszej komitywie usiedliśmy na schodkach, wiodących do zatarasowanych drzwi sklepu, w celu spożycia śniadania. Ulicą od strony dworca nadciągały oddziały piechoty, mocno stukając podkutemi butami.

— Rozkwitały pęki białych róż!... — uderzyła mię prosto w serce rzewna piosenka. Pogładziłam po szorstkim rękawie mego karmiciela i rzuciłam się za śpiewającem wojskiem, jak urzczona. Dzień już się miał ku schyłkowi i rozpogodził się najpromienniejszym wieczornym uśmiechem. Zmęczona, zgrzana, sfukana przez żołnierzy, z nogą przydeptaną przez twarde końskie kopyto, zdołałam się właśnie przedostać wśród niesfornych końskch ogonów, smagających mię od czasu do czasu, aż na czołowe pozycje. Tam już walka dogorywała. Miałam przed sobą po prawej stronie postrzelaną dzwonnicę katedralną, pod którą leżały sztywno wyprostowane ciemne postacie, a z drugiej strony rozwalone płoty pustego placu, przylegającego do ulicy Garsbarskiej. Przez łańcuch żołnierzy przeleciała krótka komenda. Porwali się z miejsca. Ja za nimi...

— Tprrru! — krzyczy jeden. — Dokąd tak panna rwie z kopyta?

— Muszę przedostać się do rodziny! — poinformowałam zadyszana, potykając się o splątane druty. — Mogę też nieść skrzynkę — dodałam, łapiąc żelazną rączkę jednej z ciężkich skrzynek amunicyjnych, które żołnierze chwytali w przelocie. Biegliśmy po wybojach nieznanego mi, bo dotychczas ogrodzonego placu. Skrzynka uderzała mię boleśnie po kolanach, wreszcie podcięła mi nogi. Upadłam jak długa, zdzierając sobie skórę na łokciu.

— Te cywilę to do luftu! — stwierdził pucołowaty szeregowiec, dźwigając mię energicznie z ziemi.

— Jakiż to cywil? To baba! — sprostował drugi. — No i niech panna bierze nogi za pas, bo tu otwarta przestrzeń dla kul...

— Przestali już strzelać! — ryknął ktoś.

— Zmykają psiekrwie!

— Na prawo! Rewidować dom!

— Hu! ha!

— Dalej! Dalej!

Razem z częścią żołnierzy dopadłam ulicy Garbarskiej. Żelazna brama domu była zamknięta. Ulica wzdłuż pusta... Dalej na chodniku coś czerniało. Podeszłam. Ktoś w granatowem, obszernem ubraniu leżał twarzą do chodnika... Obok widać było okrągłą czapkę bez daszka. Szeroka kałuża krwi dokoła głowy zastygła już i wsiąkła w szczeliny połamanych desek. Cofnęłam się, bo zrobiło mi się niedobrze... Oparłam się bezsilnie o bramę. Potem zadzwoniłam gwałtownie raz, drugi... trzeci.

Wystraszony stróż ukazał się za kratą.

— Otwierać! Otwierać! Niema bolszewików! — krzyczałam.

Po schodach zadudniły już kroki czujnego Mika, który wyskoczył na podwórze, powiewając amarantowo-białym sztandarem.

— — — — — — —

A potem przyjechał On... Są chwile, których opisać niepodobna. Wszystko, cokolwiekbym powiedziała, będzie blade wobec uniesienia, jakie wtedy spotkało Go w Wilnie.

Nigdy Go dotąd nie widziałam. A tak trudno było przedostać się na dworzec. Byłam jedną z tłumu. Nic za mną nie przemawiało. Więc błagałam naszych żołnierzy: — Puśćcie!

— Kazali nie puszczać! — frasowali się poczciwie.

— Ale ja Go nigdy jeszcze nie widziałam. Czyż wy tego nie rozumiecie. Nigdy!

— Hej, tam! — zdecydował jeden. — Pokazać panience Dziadka!

— Szoruj, panna, w tę stronę!

— Puścić! Puścić!

— To mój braciszek! On jest ze mną!

— Klawo! Dawajcie malca!

— Mik, nie bój się! Prędzejże, niezdaro!

— Nie gapić się, panienko! Koledzy puśćcie za kordon. Niech zobaczą Dziadka.

— Proszę tu stanąć

— Dziękuję! Dziękuję! Mik, jesteś? Nie rób takich oczu! Właź na tę framugę.

Byliśmy już na peronie. Śpiewało dokoła powietrze... Nad ludzkiemi gorącemi głowami trzepotał lekko wiatr... Gdy milkła pieśń... gwar szumiał dokoła odgłosem morskiego przypływu... Ale zaraz pokrywała wszystko zuchwała radość żołnierskiej piosenki... W pewnej chwili zakołysały się szeregi.... Odezwała się muzyka... Buchnął krzyk i stał chwilę jak wspaniały sztandar w powietrzu... Dreszcz upojenia przebiegł w tłumie. Trzeba było prędko mrugać oczyma, aby oczyścić je od nabiegających nieustannie łez. Przyciśnięto nas do muru. Uczyniło się wolne przejście. Zobaczyłam... Przechodził... Mówił coś... uśmiechał się... zdaje się — żartował, bo pochyleni w Jego stronę oficerowie błyskali zębami w opalonych twarzach. Zniknął w drzwiach... Zostało po Nim na chwilę wolne miejsce, które jeszcze trzymało na uwięzi wszystkie oczy. Lecz zaraz na miejscu tem ogromnym słupem uniesienia stanęła pieśń i rytmem dzwoniących żołnierskich kroków wdarła się przez otwarte drzwi wgłąb dworca, rozlewając się po oszalałem mieście strugami śpiewnych słów, w których już była zaklęta Nieśmiertelność.

Eugenja Masiejewska.

Moja pierwsza Rezurekcja.

...Nie, nie pamiętam żadnej Rezurekcji na wsi, gdzie przez pierwszych 9 lat mego życia obchodziłam Wielkanoc, przedstawiającą się w uroczych kształtach bab i mazurków, cietrzewi i parsiuczka, o złotej pieczonej skórce w desenie z różowego i białego lukru. Istniała tylko strona jadła, zabawy, gospodarzenia w kuchni, z której mię w te jedyne dni w roku nie wypraszał stary kucharz Stefan, ubliżającą propozycją przypasania ścierki. Tylko przebierania w łakomych paluszkach rodzynek, migdałów, wyskakujących po pokoju z łuski, jakichś cykat, kordymonji, o której myślałam, że rośnie czerwono na wyspach koralowych! cynamonu i gałki muszkatowej o zapachu przejmującym szafę i całą apteczkę, gdzie, jak się weszło, to zaraz od tych woni przenosiło człowieka w jakiś świat daleki, z bajek 1001 nocy. Wiedziało się, że ludzie w turbanach i hajdawerach z różowego atłasu niosą workami te „korzenie wschodnie", a przed nimi, bezbrzeżną pustynią żółtego piasku jedzie na wielbłądzie piękna jak słońce księżniczka Balrulbudur w srebrzystych zasłonach, w perłach koło brylantowych, ogromnych, czarnych oczu, zawinięta w białe muśliny i marzy... marzy o daktylach i mandarynkach, które jej ofiaruje na złotym półmisku czarny sułtan, tyran Żar-Ptaka więżący!.

Takie ku mnie na falach apteczkowych zapachów cynamonu i kordymonji szły bajki i gadały... kołysały... kłamały... bawiły najrozkoszniej...

A obok tego była zabawna, ale już nie tak własna, owszem ogólna, dzielona z innemi, powierzchowna, nie wewnętrzna — najswojejsza, jak tamte fantazje, całkiem rzeczywista sprawa przygotowywania jedzenia. Tyle jedzenia!

I żeby było jak najładniejsze to jedzenie, nie dość że będzie smaczne, słodkie, pachnące, jak nic innego w ciągu roku, ale jeszcze i wystrojone w zieleń, w kwiaty z cukru, w głogi i zielone, ocukrzone agresty, w żółte ananasy i przezroczyste paski kawonu i ukośne trawy słodkie i włókniste w jedzeniu. Mało tego, jeszcze ze skręconej papierowej tuby wyciskiwał Stefan mistrzowską dłonią takie figlasy na tortach! Białe, żółte z szafranem i różowe... wiły się liście, dróżki, pasmanterje jakieś na ciastach, na mięsach, a gdy zaglądałam jak on to robi, wołał, żeby nie patrzeć, bo się nie uda... To było najciekawsze ze wszystkiego i prawie straszne!... Że wiele rzeczy mogło zaszkodzić tym tworom ciastowym: oczy, oddech, przeciąg, tupanie po podłodze, kiedy o n e podchodziły w rądlach miedzianych prababki...

Dopieroż trzeba było ostrożnie przesuwać się przez kuchnię i tylko w koniecznej potrzebie... i tylko dla okazania zuchwałej odwagi, bo kucharz siedział na straży z kucharką i groził, że: „rzuci wszystko", jeżeli kto mu jego baby strzęsie i zrobi zakalec. Toby była dopiero okropność! Miewałam djabelskie pokusy zacząć skakać i krzyczeć, tańcując koło tych zapuszonych, tajemniczych tworów w zatłuszczonym papierze, które stawały się tak ważną rzeczą, że aż na mnie przestawano zwracać uwagę.

Wszystko stawało się w gorączkowem, wesołem tempie, ludzie ruszali się prędzej niż zwykle, gadali głośniej, wybuchali śmiechem, a zaraz ktoś przestrzegał: „Cicho, czyż pięknie śmiać się w wielkim tygodniu... toż Pan Jezus w grobie"...

W grobie?... A my tu mazurki pieczemy... nie, żadnego nie było z tem związku. Dziewczęta miesiły w wielkiej balei ciasto na pierogi „dla ludzi", potniejąc zapachem kwasu i razowego chleba, i śpiewały cienkiemi głosami Gorzkie Żale... ale przerywały uwagami o jedzeniu... A potem biegłyśmy wszystkie do mokrego, pachnącego śniegiem i wiosenną wodą gaiku po zieleninę, wygrzebując jagodnik z pod zmurszałego, chrupkiego śniegu, który lizały zziajane, skomlące cały dzień koło kuchni psy. I obszywało się adamaszkowy obrus w koło dzierazną, a w każdą rzecz do jedzenia trzeba było wbić gałązki jagodniczku.

I wreszcie było gotowe i tak piękne jak obrazek!... Tu baby, tu torty, tu mazurki, a między niemi zwierzęta pieczone, czarna szynka, bronzowy indyk, złocisty parsiuczek, pachnące cietrzewie i inne ptactwo leśne i łąkowe. A jak już wszystko stało i laki i baranek i słupki z zieloną, świeżutką rzerzuchą, biegło się do ojca, żeby przyszedł powiedzieć, czy ładnie?

I ciągnęło się go z całych sił za rękę, żeby prędzej, prędzej, bo takie wszystko kolorowe i smaczne. I „czy ładnie?" pytałam, zadzierając głowę i zaglądając mu w piękne, szafirowe oczy. A ojciec patrzał, posunął to i tamto, coś przestawił i robiło się zaraz jeszcze ładniej wśród kwiatów i jedzenia, ale przy tem uśmiechał się, uśmiechał bokiem wąsa i oczami tak jakoś, jakby żartował z nas wszystkich! Tak, jakby to była nie wiele ważniejsza sprawa od domów, które budowałam ze śniegu lub gryzmołów w zeszytach... Więc cała ogromna sprawa Święconego i tych prac i tych smaczności na chwilę malała i nikła, i stawała się czegoś śmieszna i dość już o tem było gadać...

Potem kiedyś znalazłam się w Krakowie. Po przygotowaniach, oczywiście mniejszych w mniejszej kuchni, w której klął i popłakiwał Stefan nad skąpstwem państwa, że nie chcą robić takiego Święconego jak na wsi, oraz nad tem, że naród tutejszy taki przeciwny i rozmówić się z nim trudno, zdezorjentowani nowemi warunkami, siedzieliśmy sobie na zielonym kuferku Stefana, wspominając, jak to u nas w Karolinowie i poco nas z tamtąd wygnali? Jedynie pstrokate jajka były jakąś pociechą, a i to Stefan zaklinał, by nie jeść z tej fabry, co może „otruta przeszła", że niech lepiej goście pierwiej sprobują...

Już był wieczór, kiedy ojciec zawołał, że zabierze nas wszystkich na Rezurekcję... na Wawel...

Szliśmy w kilka osób przez ciemne, pachnące ziemią planty. Inne tu było, słodsze, miększe powietrze w tej Polsce... w mojej Litwie jeszcze śniegi leżą i jeszcze post... tam nikt tak głośno i wesoło nie śpiewa po polsku gdzie chce. Tam jest gwałt i niewola, tam są Moskale. To wszystko wiedziałam. Wiedziałam, że Stefanowi, choć chce, nie pozwalają chodzić z nami do kościoła, bo go z „unijatów" zapisali na prawosławje. Ale tu mógł. Tu żaden pop nie doniesie strażnikowi... Oglądałam się na niego, drepcząc koło ojca i trzymając go mocno za rękę, pytam czy zaraz zadzwoni Zygmunt, dzwon — głos najpiękniejszy na świecie, od którego dźwięczy w gardle, w głowie, w sercu i chce się płakać, ale nie z przykrości... dziwnie jakoś. Porywa coś, niesie i kołysze... Mroźnie jest i zuchwale razem i jakiś ogrom idzie ku dziecku i duszę z niego wyrywa. Zygmunt śpiewa... z głębi ziemi... z głębi serca wydzwania tęskne wezwania... zdaje mi się, że prawie rozumiem co mówi... o co woła...

Ścisk, tłum, dzwonki, kadzidło pachnie, szelesty modlitw i nóg po kamiennych taflach posadzki, kapie wosk z kryształowych żyrandoli, wielki kościół brzmi, huczy, aż dygocze, powietrze rozśpiewane uderza w piersi, w oczy, drży w gardle: Alleluja! Alleluja!

Tłum sunie wokoło kościoła. Stoimy przy ciemniej kaplicy króla Stefana. „To twój patron Stefan", szepczę do rozmodlonego kucharza, a mama mówi: „Ależ nie, to król Batory". Ale ja wolę, żeby on się właśnie opiekował moim Stefanem i obronił go od popów.

A procesja sunie. Teraz ojciec bierze mię na ręce jak kiedy byłam mała... Przytulam głowę w kapturku do jego pachnącej wodą kolońską skroni i patrzymy razem wszystkiemi czterema oczami z całych sił...

Jakież to potężne, jakie piękne!!

W dymach wonnych kadzideł sunie ciasno spleciony bukiet złoty, lśniący, spływający strugami blasku. W starych, cennych ornatach płyną księża, kanonicy, biskupi. Poznaję ich pod ciężkiemi, złotemi mitrami! Oto nasz kochany, nasz własny, wileński biskup, Krasiński, wypędzony przez Moskali z Wilna za ten sam 63 rok, za który i tatko siedział w więzieniu w fortecy dyneburskiej. Małą twarz bielutkiego staruszka przygniata wysoka mitra, a uśmiech łagodny, przebaczający wszystkiemu, przywarł do bezzębnych, zapadłych ust. Wśród nich wszystkich, jak król, płynie na obłokach kadzidłowego dymu, na fali śpiewu, wspaniały kardynał Albin Dunajewski, o profilu renesansowego księcia Kościoła. Potężny jest, wielki, godny nieść w rękach klejnot królewski, monstrancję ze ksarbca wydobytą z białą hostją, wynosi Jezusa z grobu na świat!...

„Wesoły nam dziś dzień nastał, którego z nas każdy żądał, Jezus Chrystus zmartwychwstał! Alleluja! Aalleluja!" — rozciąga się śpiew triumfalny. Odrywam oczy od procesji, która oto nas mija... „Co za pyszna głowa".. szepcze ojciec, patrząc swemi zmrużonemi malarskiemi oczami za kardynałem Dunajewskim.

Ja wiem, że jak ojciec tak na kogoś patrzy, to go chce malować. Cieszy mnie, że teraz właśnie łapię takie jego spojrzenie, podoba mi się kardynał Dunajewski, znajduję że jest ładny, a tak lubię patrzeć jak pod pendzlem ojca wysuwa się ze smug farby znajoma jakaś twarz i mnie pytają: „Powiedz czy podobny?"

Ale teraz widzę rzecz niepojętą... oczy ojca tak dziwnie błyszczą... i głos ma jakiś nie swój... jakby coś mocno za ręce trzymał, tak mię przyciska do siebie... dziwne ma oczy... mruga powiekami... łzy... „Tatku!!" Co to jest? Puszcza mię na ziemię bez odpowiedzi. Zadzierając głowę do góry, czepiam się jego rękawa... może mi się przywidziało? Bo że wyciera nos, to może tak sobie tylko... Szarpię Stefana, który klęczy obok i bije się rozgłośnie w piersi: „Boże bądź miłościw mnie grzesznemu... Wesoły... nam.... dziś..." zaczyna i... „o Jezu... Jezu..." szlocha... Co to jest!? „Mamo!" zwracam się po ratunek, ale ona klęczy i trzyma różową twarz w zarękawku, tylko jej złote włosy z nad sobolowego futerka widać. Coś się tu dzieje z mojemi najbliższemi!

Co to jest!... To Rezurekcja?! Przecież to piękne, przecież to wesoły nam dziś dzień nastał, przecież w domu są doskonałe mazurki, jakieś nawet nowe, tutejsze gatunki, przecież biskupi tacy prześliczni i Pan Jezus z grobu wyszedł i, ach... Zygmunt, Zygmunt śpiewa z wieży na cały Kraków... Więc czemuż wszyscy moi tacy dziwni? Czy coś się dzieje, o czem nie wiem? Nie pytam, nie umiem tego określić, nie jestem pewna, czy istotnie tak jest jak mi się zdaje...

Aż schodząc w ciszę i mrok plant ze wzgórza wawelskiego ojciec powiedział mi: „Widziałaś piękną Rezurekcję, moja Helusiu... żebyś tak mogła kiedy w Wilnie... żeby kiedy w Wilnie..." I tyle, tyle pragnień było w jego głosie... dla Wilna i dla mnie.

Hel. Romer.

„Broadway" w teatrze na Pohulance.



Konszachty Stefa Czaudolla (L. Żurowski) i Niecka Verdisa (L. Dytrych).

MAŁE ANTYLLE.

(Martynika, Gwadelupa, Fort de France, S-t Piérre).

Jesteśmy poniżej zwrotnika Raka, pośród morza Karaibów, wygasłego dziś plemienia okrutnych ludożerców wojujących strzałami zatrutemi jadem wężów, których tu bezliku. Kilkanaście wysp rozmaitych wielkości rozsiadło się na burzliwym oceanie, który bije w nie od zachodu niszczącemi wszystko cyklonami. A ziemia trzęsie się tam raz po raz zrzucając budynki, miażdżąc ludzi i bydło, zasypując popiołem, zalewając lawą... Miłe miejsceczko! Czegoż u licha zwarjowani ludzie tam tkwią? A no tak, od pokoleń całych od XVI w. mieszkają tam koloniści francuscy, zdobywcy wysp zaraz po odkryciu kontynentu Ameryki. Wytworzyli specjalną rasę K r e o l ó w, zachowujących dawne patrjarchalne zwyczaje, rodziny miewają tu po kilkanaścioro dzieci, i w tych zmiennych warunkach atmosferycznych zdobywają duże majątki na plantacjach trzciny cukrowej, fabrykacji rumu i towarach kolonjalnych.

A przyroda jest tak piękna, klimat tak rozkoszny, warunki życia tak kusząco przyjemne, że Kreole kochają swe groźne wyspy i swą straszną górę Mont Pelée, która w kwietniu 1902 r. pogrzebała 20 tys. miasto St. Piérre.

A pomimo tych klęsk złoto płynie tam strumieniem.. dzięki taniej i niezmiernie wydajnej pracy rolników murzyńskich którzy, kobiety i mężczyźni, przy polach trzciny, wyładowaniu węgla, w fabrykach rumu, noszą dziesiątki klg. na głowach i pracują jak woły, mniej od nich wymagający. Budżet wyspy Martyniki sięga 70 miljonów. Import rumu do Francji przynosi właścicielom plantacyj olbrzymie zyski, to też na gwałt wyrywają drzewa kawowe, palmy i krzaki i wszędzie sadzą trzcinę cukrową, która rozrasta się jak chwast, wymaga tylko odpowiedniej wilgoci i dość uciążliwego pielenia, by zapełnić łany całe swem bladozielonem kołysaniem łodyg.

Cyklon tego nie połamie, trzęsienie ziemi nie zniszczy, nie tak jak miasto! Stolicą Martyniki. St. Piérre, zachwycali się wszyscy: było to miasto ludzi zamożnych, znających się od pokoleń, żeniących się między sobą i zakładających liczne rodziny, pełne gościnnej starodawnej wesołości, zabaw, balów, życia na dworze w patrjarchalnych stosunkach. Domy zapchane były skarbami przeszłości, obrazy, bibljoteki, srebra rodzinne, biżuterje. W ciągłych rodzinnych zebraniach wszystko to wychodziło do cudownych ogrodów, w zapachy kwiatów, ustrojone w najcenniejsze koronki i jedwabie. Piękne, niezwyrodniałe społeczeństwo, pełne życiowego wigoru i wesołości!

W 1902 r., w kwietniu, góra Mont Pelée zaczęła drgać; nikt na to nie uważał. Zaczęły padać popioły... głupstwo, przejdzie. Buchnęły wody strumieniem, zalały fabrykę, wioskę, strach ogarniać zaczął ludzi, uciekali na okręty, na pobliskie wyspy lub w głąb kraju. Kościoły były pełne modlących się (Martynika jest bardzo pobożną), nabożeństwa odprawiały się wciąż. A suchy, gorący, szary popiół padał coraz gęściej, dusił już i dławił, wody zgęstniały w rzekach w szare błoto, ryby pływały nieżywe, ptaki uciekły, szła zagłada! Ale rozmaici ludzie odpowiedzialni uspakajali: St. Piérre jest zbudowane na skale, nic się miastu nie stanie, lawa nie dojdzie. Gazeta L e s C o l o n i e s zapewniała że panika jest zbyteczna. A w 24 godzin później 28 tysięcy mieszkańców przestało istnieć; pogrzebani w poiele i lawie, w ruinach i szczelinach całemi rodzinami znikli z powierzchni ziemi...

Straszna klęska spotkała to społeczeństwo, które się teraz potrafiło znów dźwignąć. Kreole są energiczni, konserwatyści, pobożność ich jest przysłowiowa, rolnicy zawzięci, nie dopuścili do swych wysp żadnego innego wyznania, kościoły zawsze pełne, figury świętych stawiają na rogach ulic i w domach prywatnych, a murzyni również prześcigają się w objawach pobożności, mimo licznych zabobonów uprawianych w lasach i w górach. Kobiety wyższego towarzystwa na Martynice są wzorowej moralności, zajęte domem i dziećmi, których miewają do 10—18—20 — i licznemi sługami czarnemi, wiecznemi nańkami (d a s) tych licznych potomstw.

Jak okiem sięgnąć rozciągają się plantacje: rosną ananasy szare, sztywne z wielką kulą złocistą pełną wybornego soku. Gdy dojdą do 2—2½ kilo, ścinają je uzbrojone w ostre sierpy, z rękami i nogami owiniętemi w szmaty, bo ostre łodygi tną, a sok ananasu pali ręce, piękne czarne robotnice, odłamują owoc i niosą go koszami na głowach do fabryki konserw, gdzie obcięty, wydrążony, zalany ulepem wygotowanym z cukru trzcinowego i resztek ananasowych, idzie do metalowego pudełka, zostaje zalutowany i oklejony etykietą.

Do 15 tys. pudełek dziennie wypuszcza fabryka w sezonie. A dalej pola trzciny. Oto już dojrzała, zaczyna się pochylać, zbiór bliski, delikatny srebrny puch otacza szczyty napęczniałych cukrem łodyg. Wielkie, ciężkie wozy zaprzęgnięte w cztery woły krzyżowane z zebu, zaczynają wędrować w stronę pól. Parami mężczyzna i kobieta otaczają wkoło pola, on tnie całą łodygę na trzy kawałki metrowej długości, ona zbiera po 20 kawałków i szybko robi stosy po 10 paczek. Za 20 paczek 20 fr. zarobku i mogą jeść trzciny ile chcą; wielu z nich niczem się innem nie żywi przez cały dzień i tyją mimo ciężkiej pracy, tak sok ten, wytworzony wulkaniczną glebą i słońcem +70° daje dużo wigoru.

Ale łodygi drapią do krwi i oczy zasypuje ostry kurz nasion. Kobiety ochraniają nogi jak mogą i noszą po 70—80 kilo na głowie w płaskich koszykach, cała wyspa przesiąknięta słodkim, mdłym zapachem. Pracownicy zbliżają się do centrum pola, już tylko niewielka, krągła wyspa trzcin. Podpalają tę resztę i... wysuwają się z niej wtedy dziesiątki jadowitych wężów, „trigonos", których jest pełno na wyspie, niszczonych za opłatą 15 fr. za sztukę, (w zeszłym roku wydział rolnictwa wypłacił tam 48 tys. fr. za te zabite gady).

Pola długo nie stoją puste. W tydzień rośnie już znów trzcina, w 3 miesiące ma 60 ctm. Wtedy ją pielą, oskubują z niepotrzebnych liści, w 18 miesięcy już jest dojrzała. W cukrowniach wre ruch. Wrzucają pocięte trzciny do maszyn, które gniotą łodygi, szary, brudny płyn strugą cieknie do kotłów rafinerji, odpadki palą i popiołem nawożą pola, 38 tys. ton cukru wychodzi co roku z Martyniki, mieszkańcy zjadają 2 tys. a natomiast rumu wypijają 6 miljonów litrów rocznie na 225 tys. mieszkańców! Wszystkie prace dokonywane są przez murzynów i murzynki, wyspecjalizowanych w różnych gałęziach tego przemysłu, który bogaci tylko białych. Czarni są lekkomyślni, nieoszczędni, mało płatni i właściwie znajdują się faktycznie w stanie dawnego niewolnictwa, jak za czasów gdy mała Jejette rodziła się w burzliwą noc t o r n a d o, która wypędziła jej matkę i całą rodzinę do składu odpadków trzcinowych, w miejscowości L e s I l e t s własności p-twa Tacher de la Pageric, rodziców Józefiny późniejszej hr. Bauharnais, późniejszej żony Napoleona, cesarzowej Francji. **Mir.**

Wielkanoc w Anglji.

Wielkanoc... Od dwóch dni zamknięte są domy handlowe, sklepy i magazyny w Londynie i we wszystkich miastach Anglji, Szkocji i Irlandji. Praca odeszła na drugi plan, nadchodzą święta...

Miasto duma w ciszy, po ulicach i placach snują się rzadcy przechodnie. Tylko podwoje kościołów otwarte są szeroko. W centrum miasta panuje majestatyczna katedra św. Pawła. Nabożeństwo, modlitwa i stłumiona muzyka organów. Domy wydają się niezamieszkane. Stoją nieskończonemi szeregami, ciche i nieme. Dzień ciszy w mieście.

W dnie pracy główne arterje miljonowego miast — Trafalgar Square, Piccadilly, Circua. Oxford Street — roją się od zielonych, brunatnych i czerwonych omnibusów, aut luksusowych, aut ciężarowych, motocykli i wozów. Dziś jednak panuje spokój.

Wielkanoc...

Wielkanoc dzieci! Święcą ją wszędzie, w mieście, na przedmieściach i w całym kraju, wszędzie, gdzie angielska rodzina pamięta o święcie dla dzieci. Stary zwyczaj wielkanocny ukrywania i wyszukiwania pisanek utrzymał się przy życiu. W pierwszy dzień świąt przed herbatą bawią się dzieci w starodawną grę, w „osła". Polega ona na tem, że na tekturze lub papierze maluje się żółtą farbą sylwetkę wielkiej kury, wycina rysunek i przypina do kartonu. „Kurę" zawiesza się na ścianie, poczem każde dziecko dostaje do ręki grubą, różową nitkę bawełnianą z umocowaną na końcu igłą. Zawiązuje się im oczy i wszyscy pokolei starają się trafić igłą w robaka, który kura trzyma w dziobie. To, które najlepiej trafi — wygrywa.

Popołudniową herbatę podaje się w święta wielkanocne o czwartej. Stół przybrany żółtemi narcyzami, a na środku stoi koszyk napełniony ciastkami. Przy każdym krześle uwiązany jest zielony balonik. Przy każdem nakryciu stoi kubek do jajka, w którym ukryta jest maleńka zabawka. Przyklejona do kubka połowa skorupki jajka wywołuje złudzenie, że tkwi w nim całe jajko. Dziecko rozbija skorupkę i znajduje w kubku niespodziankę. Jest to dla malców zabawa jakich mało. Do herbaty podaje się kanapki z galaretką owocową lub miodem, a jako przysmaki lody w waflach i biszkopty z polewą czekoladową. Dopiero po herbacie zaczyna się szukanie jajek wielkanocnych, z których jedne są jadalne, a inne z kolorowej tektury z zabawkami wewnątrz. O ile pogoda dopisuje, chowa się je w ogrodzie, przeważnie jednak w fałdach portjer i firanek, po kątach i niszach.

Największą uciechę sprawia dzieciom odnalezienie kury czekoladowej, siedzącej w gnieździe na marcepanowych jajkach.

Wielkanoc w Anglji jest poza świętem religijnem, świętem dzieci, przedewszystkiem dzieci, które mają tutaj więcej przywilejów, niż w jakimkolwiek innym kraju. **M. K.**

S. S. VAN DINE. 1)

Sprawa „biskupa".

Przekład autoryzowany

Janiny Sujkowskiej.

Rozdział I.

„KTO ZABIŁ GILA".

(Sobota, 2-go kwietnia; południe).

Był wiosenny cudowny dzień, jeden z tych, jakie czasami nawiedzają Nowy Jork w początkach kwietnia, i Vance siedział przy śniadaniu w ogródku na dachu swego mieszkania na East 38 Street. Dochodziło południe — (Vance zwykł był pracować lub czytać do późnej nocy i wysypiać się w dzień) — i żar słońca, bijącego z czystego błękitnego nieba, owiewał miasto mgłą letargu. Vance siedział niedbale w wygodnym fotelu, mając przed sobą śniadanie na niskim stoliku i patrzył cynicznym, żałosnym wzrokiem na szczyty drzew w głębi podwórza.

Wiedziałem, o czem myślał. Miał zwyczaj jeździć co wiosnę do Francji i w jego wyobraźni Paryż i maj stanowiły jakby jedno. Ale wielki napływ powojennych amerykańskich nowobogackich do stolicy Gallów zniechęcił go do tej przyjemności i właśnie poprzedniego dnia powiedział mi, że zostaniemy no lato w Nowym Jorku.

Już od lat byłem przyjacielem i doradcą prawnym Vance'a — stróżem jego dobra i towarzyszem. Wyszedłem z firmy prawniczej mego ojca, Van Dine'a Davis i Van Dine, aby się poświęcić wyłącznie jego interesom. Wolałem to niż pracę w dusznem biurze, i jakkolwiek moje kawalerskie apartamenta mieściły się w hotelu na West Side, większą część czasu spędzałem u Vance'a.

Tego rana stawiłem się bardzo wcześnie i zanim wstał sprawdziłem rachunki z poprzedniego miesiąca. Wreszcie zasiadłem do śniadania.

— Wiesz, Van — rzekł do mnie swym suchym, przeciągłym akcentem — perspektywa spędzenia wiosny i lata w Nowym Jorku nie jest ani podniecająca ani romantyczna. Będą piekielne nudy. Ale w każdym razie będzie to mniej dokuczliwe niż podróżowanie po Europie w ordynarnym tłumie potrącających się turystów... Niech to licho weźmie!

Nie domyślał się, jaką niespodziankę gotują mu losy. Ale gdyby się domyślał, to wątpię, czy nawet perspektywa przedwojennej wiosny w Paryżu zdołałaby go pociągnąć za ocean. Bowiem dla jego nienasyconego umysłu nie istniało nic bardziej pożądanego nad skomplikowany problemat. I właśnie w chwili gdyśmy rozmawiali przy śniadaniu, bogowie przygotowywali dlań dziwną i fascynującą zagadkę, która poruszyła głęboko całe Stany i dodała do roczników kryminologji nowy okropny rozdział.

Nalewał sobie drugą filiżankę kawy, kiedy na tarasie ukazał się Currie, jego stary angielski służący i totumfacki, z przenośnym telefonem w ręku.

— Pan Markham, proszę pana— rzekł tonem usprawiedliwienia.—Pozwoliłem sobie powiedzieć, że pan jest w domu, bo zdaje się, że telefonuje o czemś ważnem.

Włączył sznur i postwił aparat na stoliku ze śniadaniem.

— Dobrze, Currie—mruknął Vance, zdejmując słuchawkę. — W tej przeklętej monotonji... — Urwał i zwrócił się do niewidzialnego Markhama. — Hallo, przyjacielu, czyż ty nigdy nie sypiasz? Właśnie raczę się wspaniałym omletem. Może przyjdziesz do mnie na śniadanie. A może stęskniłeś się poprostu za muzyką mego głosu?

Nagle umilkł i jego chuda twarz stężała w maskę powagi Vance był zdecydowanym typem północnym z długą, ostro modelowaną twarzą, szaremi, szeroko rozstawionemi oczami, wąskim orlim nosem i owalną brodą. Usta miał stanowcze i mocno zarysowane, ale czaiło się w nich jakieś cyniczne okrucieństwo, bardziej śródziemnomorskie niż północne. Twarz jego pomimo że energiczna i pociągająca nie była właściwie piękna. Była to twarz myśliciela i samotnika, i surowość jej — jednocześnie badawcza i zamknięta w sobie—tworzyła między nim i ludźmi trudną do przełamania zaporę.

Pomimo, że był z natury opanowany i mało impulsywny, zauważyłem, że telefon Markhama podziałał na niego podniecająco. Zmarszczył lekko brwi i w oczach jego odbiło się zdumienie. Wyrzucił kilka swoich ulubionych wykrzykników: „Nie do wiary"! „Słowo daję"! i „Nadzwyczajne"! i kiedy po upływie kilku minut zabrał głos w odpowiedzi Markhamowi, w zachowaniu jego zaznaczyła się szczególna gorączkowość.

— Ależ naturalnie! — rzekł. — Nie wyrzekłbym się tego za wszystkie zaginione komedje Menandera. To brzmi jak szalona bajka. Zaraz się przebiorę. Au revoir!

Odłożył słuchawkę i zadzwonił na Curriego.

— Popielaty garnitur — rozkazał. —Ciemny krawat i czarny kapelusz. —Poczem powrócił ze skupioną twarzą do omletu.

Po chwili spojrzał na mnie zagadkowym wzrokiem.

— Co też ty możesz wiedzieć o łucznictwie, Van? — zapytał.

Wiedziałem tylko tyle, że strzela się z łuków do tarcz i na tem koniec i naturalnie złożyłem odpowiednie oświadczenie niewiedzy.

— Niewiele można się od ciebie nauczyć — odpowiedział, zapalając niedbale wytwornego papierosa. — A zdaje się, że będziemy się musieli tem zająć. Ja sam również nie jestem autorytetem w tej materji, chociaż w swoim czasie zabawiałem się łukiem w Oksfordzie. Niebardzo to podniecająca rozrywka — dużo nudniejsza niż golf, a tak samo skomplikowana. —Zaciągnął się wolno dymem.—Słuchaj, Van, może byłbyś łaskaw przynieść mi z bibljoteki dzieło dr. Elmera o łucznictwie! Dziękuję ci!

Przyniosłem żądaną książkę, nad którą spędził prawie pół godziny. Wkońcu znalazł widocznie to, czego szukał, bo oparł się o poręcz fotelu i twarz jego przybrała wyraz skupionego namysłu.

— Czyste szaleństwo, Van — zauważył, patrząc w przestrzeń. Średniowieczna tragedja we współczesnym Nowym Jorku! Nie nosimy dzisiaj buksów i skórzanych kaftanów, a jednak — na Boga! — Wyprostował się nagle na siedzeniu. — Nie — nie! To absurd! Daję się ponosić szaleństwu Markhama.

Wypił resztę kawy, lecz wyraz jego oczu powiedział mi, że opętała go jakaś myśl, której nie może się oprzeć.

— Jeszcze cię o jedno proszę, Van — rzekł po chwili milczenia.— Przynieś mi słownik niemiecki i Burtona E. Sterensona „Home Book of Verse".

Przyniosłem obie książki Poszukał w słowniku jednego wyrazu i odsunął go nabok.

— Na nieszczęście to właśnie to— chociaż i tak wiedziałem.

Następnie otworzył olbrzymią antologję Stevensona i poszukał części obejmującej piosenki śpiewane dzieciom przez nianki Po kilku minutach lektury zamknął i tę książkę i rozciągnąwszy się w całej długości na fotelu wydmuchnął spiralną wstążkę dymu.

— To nie może być prawda — rzekł do siebie. — Zbyt fantastyczne, zbyt szatańskie, zbyt niedorzeczne!... Czarodziejska bajka, wymalowana krwią — świat w anamorfozie — perwersja zdrowego rozsądku. Niewyobrażalne, bezsensowne, coś niby czarna magja, czarnoksięstwo i cud. Czyste szaleństwo! Czyste szaleństwo!

Spojrzał na zegarek i poszedł się przebrać, pozostawiając mnie na łup nieokreślonych domysłów. Traktat o łucznictwie, słownik niemiecki, zbiór wierszyków dla dzieci i niezrozumiałe uwagi Vance'a na temat obłędu i fantazji — co to wszystko mogło mieć wspólnego? Spróbowałem odpowiedzieć na pytanie, znaleźć jakiś wspólny mianownik — bez skutku. I nic dziwnego, bo kiedy w wiele tygodni później prawda wyszła najaw to, pomimo niezaprzeczalnych dowodów, okazała się dla normalnych umysłów zbyt niewiarogodna i zbyt zbrodnicza, poprostu nie do przyjęcia.

(D. c. n.)

WIEŚCI I OBRAZKI z KRAJU

Decyzja Okr. Kom. Wyborczej w Lidzie o przyjmowaniu nowych list wyborczych.

W dniu wczorajszym odbyło się posiedzenie Okręgowej Komisji Wyborczej Nr. 62, t. j. Lida — w sprawie składania list kandydatów na posłów.

Komisja postanowiła wycofać poprzednią uchwałę nieprzyjmowania nowych list kandydatów na posłów, decydując, że nowe listy mogą być nadal przyjmowane.

O tej nowej decyzji zawiadomiono natychmiast obwody głosowania w całym okręgu.

Pożar maj. Żelazowszczyzna.

Straty wynoszą 50 tys. zł.

Z Postaw donoszą, iż w majątku „Żelazowszczyzna" położonym w gm. hruzdowskiej, a należącym do d-ra Józefa Kurkowskiego wybuchł pożar, który strawił doszczętnie domy mieszkalny i służbowy.

Żona d-ra K. doznała silnego poparzenia rąk.

Straty przenoszą 50.000 zł.

Zbrodnia, ujawniona po upływie pół roku.

W listopadzie ub. r. w tajemniczych okolicznościach zaginęła Stanisława Sudenis, mieszkanka wsi Tuszczewle.

Dopiero onegdaj policja zdołała ujawnić iż zaginiona padła ofiarą mordu, dokonanego na jej osobie przez Stanisława Orszewskiego, który trupa zakopał w polu.

Zabójcę osadzono w więzieniu.

Ujęcie międzynarodowego oszusta.

W dniu 15 kwietnia władze łotewskie przekazały na punkcie granicznym w Turmontach władzom polskim obywatela rumuńskiego Weissenberga w celu dalszego odtransportowania do Rumunji. Weissenberg jest międzynarodowym oszustem. Był on karany za popełnione przestępstwa w Rumunji, poczem, odbył karę więzienia na Łotwie i obecnie zaś ma być wydany władzom rumuńskim celem pociągnięcia do odpowiedzialności za inne popełnione na terenie Rumunji przestępstwa.

Skazanie na śmierć zabójcy 5 osób.

NOWOGRÓDEK, 18.IV. (Pat). Sąd okręgowy w Nowogródku na sesji wyjazdowej w Baranowiczach rozpatrywał sprawę niejakiego Jerzego Tumucia, Aleksego Tumucia i Jana Drozda, którzy w roku ubiegłym zarąbali na śmierć siekierą 5 osób. Sąd skazał Jerzego Tumucia na karę śmierci przez powieszenie, pozostałych zaś oskarżonych z powodu braku dostatecznych dowodów uniewinnił.

Niedole szkolnictwa i nauczycielstwa w Hutach Szklanych „Niemen".

W północnej stronie województwa nowogródzkiego leżą nad Niemnem Huty Szklane „Niemen" sp. akc. rodziny p. Stollów, zatrudniające około 1000 robotników. Znane są ze swych ofiar na cele społeczne i oświatowe, gdyż dawały swego czasu lokal pod szkołę, mieszkania, opał i światło dla naucz. i szkoły, szkła na 10 proc. pensji miesięcznej na święta Wielkanocne i Bożego Narodzenia, 120 zł. w gotówce miesięcznie na cały personel nauczycielski za pracę pozaszkolną wśród robotników, jako dodatek fabryczny (których naucz. już się zrzekło w mies. lutym) oraz od czasu do czasu coś niecoś dla szkoły.

Praca kulturalna i oświatowa od roku 1918 postępowała naprzód różnemi krokami, zależnie od pewnego ale... nauczycielstwa, gdyż Huty Szklane „Niemen" na których terenie znajduje się szkoła, przedstawiają jakgdyby oddzielne państewko pod względem polityki zewnętrznej i wewnętrznej, do której coś niecoś dorzuca i ks. proboszcz kapelan Hut Szklanych.

Nauczycielstwo zaś miejscowej 7-klasowej szkoły powszechnej mając szersze drogi i światopogląd zaczęło się od pewnego czasu z pod praw tego państewka wyłamywać. Zaznaczyły się dwa kierunki w pracy: „religijno-moralny" i „społeczno-państwowy".

Kierunkowi „religijno-moralnemu" nie podobały się obchody i uroczystości organizowane na własną rękę przez nauczycielstwo, gdyż za bardzo przebijała się indywidualność naucz. i sympatją ku osobie Marszałka Piłsudskiego jako Budowniczego Państwa.

Nastąpiły nieporozumienia, które ukazały się nawet w prasie. I tak „Życie Nowogródzkie" z dnia 14 lutego r. b. Nr. 32 (758) w art. „Echa z Niemna" — zredagowanym przez członka rodziny Stollów p. Ed. Lejt podaje: „Już w jesieni 1918 r. (jeszcze za okupacji niemieckiej) została zapoczątkowana przez właścicieli „Niemna" jawna, społeczna i kulturalna oświatowa praca, w której niemały udział poczęła brać stale napływająca w miarę rozwoju Hut, administracja fabryczna, szereg robotników oraz dość często zmieniający się zespół nauczycielski miejscowej szkoły powszechnej" (ale dlaczego dość często zmieniający się zespół nauczycielski?). A dalej czytamy: „...spodziewano się, że i obecny zespół nauczycielski w liczbie pięciu osób stanie do dalszej wspólnej i wzmożonej pracy pozaszkolnej, choćby z tytułu przyjętych zobowiązań (!) w stosunku do zarządu fabryki".

Nic więc dziwnego, że w Nr. 36 (762) „Życia Nowogródzkiego" z dnia 19 lutego w art. „Jeszcze echa z Niemna" czytamy: „Praca w tych licznych organizacjach powołanych do życia wspólnym wysiłkiem była słusznie „tętniąca silniej lub słabiej", gdyż zależało to od stosunku osobistego danego kierownika względnie od nastawienia go przez stronę drugą.

Nic więc dziwnego, że zespół miejscowej szkoły powszechnej ulegał dość często zmianom" bo „Nie o pracę jednak jako taką „Niemnowi" chodzi. Chodzi mu o kierunek w tej pracy, inny aniżeli prowadzi nauczycielstwo. „Niemen" mile widziałby w pracy społecznej kierunek raczej religijny, podczas gdy nauczycielstwo hołduje pracy społeczno-państwowej".

„Nauczyciel szkoły powszechnej jest urzędnikiem państwowym, wychowawcą społeczeństwa, ale pracuje w myśl ideologji państwowej a nie osób trzecich".

„Co do obecnego nauczycielstwa to brało ono i bierze nadal udział w pracy nast. org., które mają widoki rozwoju i szerokie rzesze zwolenników jak: harcerstwo męskie i żeńskie, hufiec harcerski przysp. wojsk., Stow. Rez. i b. Wojsk., Przysp. Wojsk. dla przedpobor. niestowarzyszonych, Koło teatralne przy szkole, „Lutni" (obecnie przekształcone na chór kościelny), L. O. P. P. i t. p. urządza odczyty dla starszego społeczeństwa, kursy wieczorowe".

„Nie bierze natomiast udziału w pracy straży ogniowej, kooperatywie fabr., gdyż do zarządu wchodzą ludzie fachowi", „w Stowarzyszeniach Młodzieży Polskiej męskiem i żeńskiem oraz sodalicji marjańskiej, gdyż jest to rzecz przekonań religijnych i osobistych".

Lecz na tem nie koniec. Znów pojawiła się korespondencja w N-rze 55 (869) „Życia Nowogródzkiego", „Świadka" p. t. „Jeszcze o pracy społecznej w Niemnie" zarzucająca miejscowemu personelowi naucz. „że są niefortunnymi pracownikami" i pracuje na niekorzyść Ojczyzny „ a raczej na zgubę", że „chce się pochwalić swoją pracą, której nikt nie widzi", że „ani kwalifikacji ani zdolności nie mają"—jednem słowem nie nadaje się do pracy. Sprawa powyższa w niedługim czasie znajdzie się na wokandzie sądowej o publiczne zniesławienie, gdyż „Życie Nowogródzkie" nie chciało dotąd powyższego zniesławienia sprostować ani odwołać. Ponieważ nauczycielstwo nie poszło po linji polityki Hut Szklanych nastąpiły „rugi".

Na bieżący rok szkolny wymówiono lokal pod szkołę, każąc sobie płacić czynsz dzierżawny w wysokości 1200 zł. rocznie oraz 300 zł. za światło (5 sal szkolnych, kancelarja i pokój na pomoce naukowe — przy użyciu 13 żarówek).

Z lokali i światła korzystają: szkoła i wszystkie inne organizacje jak: harcerstwo, straż ogniowa, stowarzyszenia młodzieży polskiej i t. p., gdyż sale oddaje się na zabawy, przedstawienia, zebrania i inne imprezy urządzane w „Niemnie", za które opłaca gm. Dokudowo a „Niemen" zbiera owoce jako wielki fialntrop pracy społecznej.

Szkoła korzyst tylko ze światła na kursach wieczorowych w miesiącach: od października do końca marca — według programu oraz w dni pochmurne i podczas imprez szkolnych.

Obecnie przyszła kolej i na nauczycielstwo. Z dniem 25 kwietnia wymówiły Huty Szklane mieszkania dla nauczycielstwa oraz wszelkie inne świadczenia „ ze względu na przerwanie od pewnego czasu pracy kulturalno-oświatowej wśród robotników, która miała być prowadzona przez grono nauczycielskie szkoły powszechnej w „Niemnie", a której program miał być ustalony wspólnie z Zarządem firmy mocodawczej".

Zdaje się że programy pracy oświatowej ustalają komisje oświatowe. Huty Szklane wiedzą, że w „Niemnie" panuje „głód mieszkaniowy" wymawiają więc na nowy rok szk. kategorycznie i lokal pod szkołę.

Nierozważny krok Zarzadu Hut Szklanych wywołał wielkie niezadowolenie wśród miejscowego społeczeństwa zarówno robotników fabr. jak i mieszkańców Brzozówki, gdyż dziatwa w wieku szkolnym może być pozbawiona nauki, co przypuszczam dla takiego ośrodka fabr. jak „Niemen" oraz jej właścicieli nie będzie wielkim zaszczytem — „Niemen" bez szkoły!

Pozostają więc dwie alternatywy: albo będzie lokal pod szkołę w nowobudujących się budynkach p. Pendlowej i p. Fibicha a nauczycielstwo zamieszka pod namiotami (zresztą pora na obozy letnie), albo będą w tych budynkach mieszkania dla nauczycielstwa a szkoła będzie odbywać zajęcia pod gołem niebem.

Z prostych przyczyn najlepiej byłoby szkołę zamknąć z braku lokalu pod szkołę i mieszkań dla nauczycielstwa.

Przypuszczam jednak, że „Niemnowi" nie chodzi o sam fakt wyrugowania szkoły ale nauczycielstwa, które idzie w myśl polityki państwa, pracuje samodzielnie, należy do Związku Polsk. Naucz. Szkół Powsz., a zarzut że praca kulturalno-oświatowa wśród robotników została od pewnego czasu przerwana — jest niesłuszny, gdyż w bieżącym roku szkolnym nauczycielstwo dodało nawet nowe organizacje „Niemnowi" jak: Stow. Rezerwistów i b. Wojsk., Przysposobienie Wojskowe dla niestowarzyszonych (dziś najliczniejsza org. w „Niemnie") i koło teatralne przy szkole powszechnej a przestało brać udział w pracy nie z własnej winy w „Lutni" przekształconej na chór kościelny, oraz przerwało odczyty z braku przeźroczy.

Natomiast wszelka inna praca jak: kursy wieczorowe, przedstawienia, akademje były i są prowadzone normalnie a nawet ostatnio obszerniej, gdyż z inicjatywy nauczycielstwa zorganizowano 11-lecie niepodległości Polski oraz po raz pierwszy w „Niemnie" Obchód Imienin Marszałka Józefa Piłprzyczyną nieporozumień na tle pracy i poprzyczną nieporozumień na tle pracy i poglądów społeczno-państwowych. **Widz.**

KRONIKA

Sobota 19 Kwietnia	Dziś: Tymona M.
	Jutro: **Zmartwychwst. Chr. P.**
	Wschód słońca—g. 4 m. 33
	Zachód „ —g. 18 m. 39

Spostrzeżenia Zakładu Meteorologji U. S. B. w Wilnie z dnia 18 IV—1930 roku.

Ciśnienie średnie w milimetrach: 764

Temperatura średnia: + 10° C

„ najwyższa: + 14° C

„ najniższa: + 7° C

Opad w milimetrach: 25

Wiatr przeważający: południowo-zachodni.

Tendencja barom.: spadek, nast. stan stały.

Uwagi: w nocy deszcz, po poł. pogodnie.

KOŚCIELNA

— **Rozkład rezurekcyj w kościołach wileńskich.** W roku bieżącym rezurekcje w poszczególnych kościołach wileńskich odbędą się podług następującego rozkładu:

Bazylika Metropolitalna w sobotę g. 8 wiecz.
Kościół św. Jana w sobotę g. 11 wiecz.
Kościół św. Rafała w niedzielę g. 6 rano.
Kościół po-Bernardyński w sobotę g. 10 w.
Kościół W. W. Świętych w sobotę g. 9 w.
Kościół św. Ducha w sobotę g. 11 wiecz.
Kościół św. Piotra i Pawła w niedzielę godz. 6 rano.
Kościół Niepokalanego Poczęcia N. M. P. w niedzielę godz. 7 rano.
Kościół N. Serca Jezusa w niedzielę g. 6 r.
Kościół św. Krzyża w niedzielę godz. 6 rano.
Kościół św. Jerzego w niedzielę g. 7 rano.
Kościół św. Bartłomieja w niedzielę g. 6 rano
Kościół św. Michała w sobotę g. 7 wiecz.
Kościół św. Trójcy w sobotę g. 8 wiecz.
Kościół św. Katarzyny w sobotę g. 7 wiecz.
Kościół P. P. Wizytek w sobotę g. 6 wiecz.
Kościół Wniebowstąpienia (OO. Misjonarzy) g. 7 rano.
Kościół św. Filipa i Jakóba w niedzielę g. 6 rano.
Kościół św. Józefa (przy Dobroczynności) w sobotę g. 6 wiecz.
Kaplica OO. Franciszkanów w sobotę g. 9 w.

ADMINISTRACYJNA

— **Wileńskie Starostwo Grodzkie podaje do wiadomości właścicieli piekarń i zakładów cukierniczych,** że termin wykonania urządzeń, wyszczególnionych w wysłanych do nich wezwaniach Starostwa z dnia 8.III 30 r. Nr. 566, przedłużony został zgodnie z postanowieniami Rozporządzenia Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 29.X. 1929 r. (Dz. Ust. R. P. Nr. 78 1929 r. do dn. 31 grudnia 1930 r.

MIEJSKA

— **Przyśpieszenie w budowie stacji dla autobusów dalekobieżnych.** Jak już podawaliśmy Magistrat m. Wilna prowadzi obecnie roboty nad niwelacją góry u wylotu ul. J. Jasińskiego, co jest wstępem do budowy tam stacji centralnej dla autobusów dalekobieżnych. Ze względu na to, iż wybudowanie tej stacji jest z wielu względów zadaniem, wymagającem szybkiej realizacji — Prezydjum Magistratu na posiedzeniu wczorajszem zdecydowało przeprowadzić we wzmożonem tempie roboty niwelacyjne, gdyż już w sezonie letnim Magistrat zamierza przenieść postój autobusów zamiejscowych z ul. Orzeszkowej na plac przy ul. J. Jasińskiego. W związku z tem roboty nad niwelacją góry będą trwały przez cały dzień. Robotnicy zatrudniani będą na dwie zmiany.

— **Uruchomienie oddziału dla marantyków na Zwierzyńcu.** Z dniem wczorajszym po gruntownem odremontowaniu baraków po dzieciach jagliczych, położonych wpobliżu szpitala zakaźnego na Zwierzyńcu, sekcja zdrowia Magistratu m. Wilna uruchomiła tam oddział męski dla marantyków (nieuleczalnie chorych), którzy dotychczas przebywali w szpitalu Sawicz.

Chorzy zostali już przewiezieni i umieszczeni w nowym lokalu.

— **Koncerty symfoniczne w ogrodzie Bernardyńskim.** Wileńskie Towarzystwo Filharmoniczne zwróciło się do Magistratu m. Wilna z prośbą wydzierżawienia ogrodu Po-Bernardyńskiego w celu urządzania koncertów symfonicznych w okresie miesięcy letnich (maj, czerwiec, lipiec i sierpień). Sprawa ta była rozpatrywana na ostatniem posiedzeniu Magistratu przyczem postanowiono przychylić się do prośby wymienionego Towarzystwa na następujących warunkach: koncerty symfoniczne odbywać się będą 3 razy tygodniowo, poczynając od 1 maja r. b. Opłata za wstęp pobierana będzie w normach poniższych: bilety siedzące — 1 zł., wejściowe — 40 gr., ulgowe — 20 gr.

Powyższe koncerty Magistrat postanowił zwolnić od podatku widowiskowego.

— **Z racji świąt Wielkanocnych** Magistrat m. Wilna wypłacił pracownikom i robotnikom miejskim zaliczkę w wysokości 25% poborów.

SPRAWY AKADEMICKIE

— **„Pół Czarnej"** Akademickich Kół Wilnian we Lwowie, Poznaniu i Warszawie odbędzie się w dniu 26 kwietnia r b. o godz. 22 w Salonach Oficera Polskiego (Kasyno Garnizonowe, Mickiewicza 13).

— **Akademicki Klub Włóczęgów Wileńskich** zamiast składania wizyt świątecznych udaje się tradycyjnym zwyczajem na dwudniową włóczęgę do uzdrowiska akademickiego w Legaciszkach. „Wujowie" klubowi i sympatycy mile widziani. Zbiórka w pierwszy dzień świąt o godz. 12-ej w południe na moście Zwierzynieckim.

Z KOLEI

— **Wstrzymanie ruchu towarowego na kolei.** Władze kolejowe zarządziły wstrzymanie w okresie świąt Wielkanocnych (od g. 18-ej 19 b. m. do 22 kwietnia) normalnego ruchu towarowego na kolei, za wyjątkiem transportów, które nie mogą ulec zwłoce.

ŻYCIE LITEWSKIE

— **Przybyli jeszcze goście z Kowna.** Prócz wymienionych w numerze onegdajszym profesorów Uniwersytetu Kowieńskiego M. Biržyszki, Paukszlasa i Sruogi przyjechali na święta do Wilna prof. Janulajtis z żoną oraz znana autorka p. Czurlonisowa.

RÓŻNE

— **Podziękowanie** Zarząd i dzieci schroniska dla sierot im. Marszałka J. Piłsudskiego składają serdeczne podziękowanie Sz. Dyrekcji Polskiego Radja za ofiarowany ku uczczeniu dn. 19.III. aparat lampowy z głośnikiem.

— **Znany, najstarszy w Wilnie, zakład fotograficzny B-cia Butkowscy,** istn. od roku 1885, zaszczycony szeregiem wyższych nagród, obecnie został nowocześnie urządzony i nanowo uruchomiony w Wilnie, przy ul. Ad. Mickiewicza 22.

Dla oznajomienia Sz. Pp. z nową pracą zakładu, czasowo zniżone są ceny, o czem załącza się przy niniejszem Nr. „Kur. Wil." ulotkę.

ZABAWY

— **Towarzyska Zabawa Taneczna** w Kole Pol. Mac. Szk. im. T. Kościuszki przy ul. Turgielskiej 12 odbędzie się w drugi dzień Świąt 21.IV. Początek o godz. 9 wiecz. Wstęp za zaproszeniami, które można otrzymać u czł. Koła i przy wejściu na Zabawę.

TEATR I MUZYKA

— **Teatr Miejski na Pohulance. Repertuar świąteczny.** W niedzielę 20 b. m. o godz. 8 sensacyjna sztuka amerykańska „Broadway". W poniedziałek 21 b. m. dwa przedstawienia: o godz. 3.30 pp. opera narodowa „Krakowiacy i Górale", o godz. 8 „Broadway". We wtorek 22 b. m. o godz. 8 „Broadway". W środę 23 b. m. o godz. 3.30 „Cudowny pierścień".

— **Teatr Miejski Lutnia. Repertuar świąteczny.** Niedziela 20 b. m. o godz. 8 „Błędny bokser" W. Smólskiego, w poniedziałek o g. 3.30 „Gdybym chciała" komedja Spitzera i Geraldiego, o godz. 8 w. „Błędny bokser" W. Smólskiego. We wtorek 22 b. m. o g. 8 „Błędny bokser" W. Smólskiego. Kasa zamawiań w sobotę nieczynna, jutro zaś od godz. 11 rano.

— **Występ Arrau.** Środowy koncert 23 b. m. jednego z najznakomitszych pianistów współczesnych Claudio Arrau wzbudził olbrzymie zainteresowanie. Koncert słynnego wirtuoza odbędzie się w Teatrze na Pohulance. Bilety zawczasu do nabycia w kasie Teatru Lutni od 11 do 9 w.

RADJO

SOBOTA, dnia 19 kwietnia 1930.

11.58: Sygnał czasu, muzyka religijna oraz komunikat meteorologiczny z Warszawy. 16.15: Odczyty dla maturzystów: 1) Powstanie listopadowe, 2) Bolesław Prus. 17.00: Słuchowisko dla młodzieży „Cud Wielkiej Nocy". 18.00: Rezurekcja z Katedry na Wawelu. W czasie Rezurekcji odezwie się „Zygmunt". 20.00: Koncert religijny z Poznania.

NIEDZIELA, dnia 20 kwietnia 1930.

9.00: Transmisja nabożeństwa z Katowic. 11.58: Sygnał czasu i komunikat meteorologiczny z Warszawy. 16.35: „Co się dzieje w Wilnie?" pogadanka. 17.00: Muzyka lekka i audycja dla dzieci z Krakowa. 18.00: Koncert z Poznania. 19.00: Słuchowisko Świąteczne. 20.00: Koncert z Krakowa.

PONIEDZIAŁEK, dnia 21 kwietania 1930.

10.15: Transmisja nabożeństwa z Poznania. 11.58: Sygnał czasu, komunikat meteorologiczny, koncert symfoniczny poświęcony muzyce polskiej i odczyty rolnicze. 15.00: „Uprawa buraków pastewnych" — odczyt. 17.40: Koncert popularny. 19.00: Monolog regjonalny Leona Wołłejki. 19.20: Słuchowisko „Sobótki" J. Kochanowskiego. 20.00: Sygnał czasu, program na wtorek. 20.05: „Głos z Kowieńszczyzny" pogadanka. 20.20: Operetka, feljeton i komunikaty z Warszawy. 23.00: Muzyka taneczna z Warszawy.

WTOREK, dnia 22 kwietnia 1930.

11.58: Sygnał czasu z Warszawy. 12.05: Gramofon. 13.10: Komunikat meteorologiczny z Warszawy. 15.15: Odczyty dla maturzystów: 1) Wielka emigracja, 2) Napoleon. 16.10: Program dzienny. 16.15: Muzyka popularna. 17.00: Prace wiosenne w ogrodach i sadach. 17.15: Mała skrzyneczka. 17.45: Koncert. 18.45: „O ruchu muzycznym w Paryżu" odczyt. 19.10: Program na środę i rozmaitości. 19.20: Opera z Poznania i komunikaty z Warszawy.

ŚRODA, dnia 23 kwietnia 1930.

11.58: Sygnał czasu z Warszawy. 12.05: Poranek muzyki popularnej. 13.10: Komunikat meteorologiczny z Warszawy. 15.15: Odczyty dla maturzystów: 1) St. Żeromski, 2) Kongres Wiedeński. 16.10: Program dzienny. 16.15: Audycja dla dzieci „Kochajcie kwiaty" pogadanka. 16.45: Gramofon. 17.15: „Wśród książek" i koncert popularny. 18.45: Kwadrans akademicki. 19.00: Feljeton wesoły. 19.25 Gramofon. 19.40: Radjokronika i sygnał czasu. 20.00: Program „Dnia Poznania". 20.30: Koncert wieczorny. 21.10: Kwadrans literacki z Warszawy. 21.25: Dalszy ciąg koncertu 22.10: Komunikaty z Warszawy. 23.00: Muzyka taneczna.

NA WILEŃSKIM BRUKU

Zapobiegliwi złodzieje intensywnie zaopatrują się na święta.

Złodzieje wileńscy, poszukujący towarów nadających się w obecnym czasie przedświątecznym do najłatwiejszego zbytu, lub z któregoby sami mogli skorzystać przy świątecznych libacjach, specjalną uwagę zwrócili na składy i sklepy i magazyny spożywcze i kolonjalne, okradając je przy lada sposobności.

W ciągu ostatniej doby złoczyńcy obrabowali aż cztery tego rodzaju przedsiębiorstwa, przyprawiając właścicieli o poważne straty.

I tak: Do składu hurtowego, należącego do Nauma Wajnsztejna, a mieszczącego się w domu Nr. 9 przy ul. Trockiej, wdarli się nieujawnieni dotąd sprawcy po otwarciu zamku dobranym kluczem, których łupem stały się znaczne ilości towarów kolonjalnych, jak: kakao, herbata, kawa.

Nadto złoczyńcy zabrali maszynę do pisania systemu „Hamonnt" oraz z niezamkniętego biurka wyjęli przechowywane tu weksle wystawione przez różnych klijentów na sumę 12.000 zł.

Ogólne straty poszkodowany oblicza na 15.000 zł.

— Po wyjęciu szyby wystawowej sklepu Dawida Pupko, przy ul. Makowej Nr. 5 skradziono czekoladę różnych firm, 35 konserw firm „Baltic" i „Atlantic" oraz dwie 10 klg. bańki z oliwą.

Straty wynoszą 400 zł.

— Z lodowni Abrama Mirwisa, mieszczącej się przy ul. Gdańskiej Nr. 4, po wyrwaniu skobla, skradziono zapas mięsa, wartości 400 zł.

— Wreszcie ofiarą złoczyńców padła Marjanna Jasińska, której ze składu znajdującego się w podwórzu domu Nr. 87 przy ul. Legjonowej, skradziono słoninę i mięso, wartości 300 złotych.

„Broadway" w teatrze na Pohulance.



Broadway — pełen niesamowitych emocyj, zawdzięcza bardzo wiele reżyserowi Ryszardowi Wasilewskiemu.
Reżys. Wasilewski w roli detektywa Den Meccorna stworzył kreację pełną wewnętrznej siły i demonizmu.

Ogłoszenie.

Komornik Sądu Powiatowego w Wilnie, Jan Lepieszo, zamieszkały w Wilnie przy ulicy Zamkowej w domu Nr. 15 m. 2 na zasadzie art. 1030 U. P. C. ogłasza, iż w dniu 22 kwietnia 1930 r. o godz. 10-ej rano, w folw. Birki, gminy rzeszańskiej, pow. wileńsko-trockiego, odbędzie się sprzedaż z licytacji publicznej ruchomości, należącej do dłużnika Konstantego Chaźbijewicza, składającej się z żywego i martwego inwentarza, oszacowanej dla licytacji na sumę 1.100 złotych.

209/VI Komornik Sądu Powiatowego (—) J. LEPIESZO.

Ogłoszenie.

Komornik Sądu Powiatowego w Wilnie, Jan Lepieszo, zamieszkały w Wilnie przy ul. Zamkowej 15 m. 2 na zasadzie art. 1030 U. P. C. ogłasza, iż w dniu 26-go kwietnia 1930 roku, o godzinie 10 rano w Wilnie, przy ul. Kasztanowej Nr 5 m. 1, odbędzie się sprzedaż z licytacji publicznej ruchomości, należącej do Michała i Haliny Moszyńskich, składającej się z urządzenia mieszkaniowego, autobusu i aparatu radjowego, oszacowanej dla licytacji na sumę 1220 złotych.

210/VI. Komornik Sądu Powiatowego J. Lepieszo.

Ogłoszenie.

Magistrat m. Wilna niniejszem podaje do ogólnej wiadomości, że w dniu 23-go kwietnia 1930 r. o godz. 10-ej rano w sali licytacyjnej przy ul. Trockiej Nr. 14 odbędzie się licytacja różnego rodzaju sprzętów domowych, zasekwestrowanych u poszczególnych płatników, w celu pokrycia zaległości podatkowych.

Magistrat.

Zgubiono Pełnomocnictwo firmy Singer Sewing Machine Company s-ka akc, wydane na imię Lejtmana Józefa za Nr 90. Rejestr Nr 207 wyd. w r. 1926 ważna do r. 1930. Unieważnia się. 1372

Ogłoszenie.

Komornik Sądu Powiatowego w Wilnie, Jan Lepieszo, zamieszkały w Wilnie przy ul. Zamkowej 15 m. 2 na zasadzie art. 1030 U.P.C. ogłasza, iż w dniu 28 kwietnia 1930 roku o godz. 10 rano w Wilnie, przy ul. Zamkowej Nr 8 m. 3, odbędzie się sprzedaż z licytacji publicznej ruchomości, należącej do dłużników Abrama i Chaima Ginburgów, składającej się z urządzenia mieszkaniowego i maszyny do szycia, oszacowanej dla licytacji na sumę 570 złotych, na zaspokojenie pretensji Icka Rapoporta.

208/VI Komornik Sądu Powiatowego J. Lepieszo.

Skradziony dowód osobisty Nr 1252 wydany dn. 31.VII 1925 r. przez Starostwo Święciańskie, oraz książ. wojsk. wyd. przez P.K.U. Święciany Nr 896 wraz z kartą mobil. na imię Józefa Marcinkiańca, syna Augustyna, unieważnia się.

Zgub. dowód osobisty wyd. przez Starostwo Brasławskie i ks. woj. wyd. przez P. K. U. Święciany na im. Nikodema Matula, uniew. się.

OGŁOSZENIE

Wydział Powiatowy Sejmiku Mołodeczańskiego ogłasza konkurs na stanowisko subsydjowanego rejonowego lekarza z siedzibą w Lebiedziewie pow. Mołodeczańskiego.

Rejonowy lekarz w Lebiedziewie otrzymywać będzie tytułem subsydjum z Wydz. Powiat. kwotę zł. 200 miesięcznie.

O bliższe szczegóły co do warunków należy się zwracać do Naczelnego Lekarza Sejmikowego w Mołodecznie.

Podania z życiorysem i odpisami odnośnych dokumentów, należy składać w Wydziale Powiatowym w Mołodecznie.

Podania nieuwzględnione pozostaną bez odpowiedzi.

Przewodniczący Wydziału Powiatowego Starosta
Jerzy de Tramecourt.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Jagiellońska 3. Telefon 99. Czynne od godz. 9—3 ppoł. Naczelny redaktor przyjmuje od godz. 2—3 ppoł. Redaktor działu gospodarczego przyjmuje od godz. 6—7 wiecz. we wtorki i piątki. Rękopisów Redakcja nie zwraca. Dyrektor wydawnictwa przyjmuje od godz. 12—2 ppoł. Ogłoszenia przyjmują się od godz. 9—3 i 7—9 wiecz. Konto czekowe P. K. O. Nr. 80.750. Drukarnia — ul. Ś-to Jańska 1. Telefon 3-40.

CENA PRENUMERATY: miesięcznie z odnoszeniem do domu lub przesyłką pocztową 4 zł. Zagranicą 7 zł. **CENA OGŁOSZEŃ:** Za wiersz milimetrowy przed tekstem — 40 gr., w tekście I, II str. — 30 gr., III, IV, V, VI — 35 gr., za tekstem — 15 gr., kronika rekl.-komunikaty — 1.00 zł. za wiersz redakcyjny, ogłoszenia mieszkaniowe — 30 gr. za wyraz. Do tych cen dolicza się: za ogłoszenia cyfrowe i tabelaryczne — 50% drożej, z zastrzeżeniem miejsca — 25% drożej, w numerach niedzielnych i świątecznych — 25% drożej, zagraniczne — 100% drożej, zamiejscowe — 25% drożej. Dla poszukujących pracy 30% zniżki. Za numer dowodowy 20 gr. Układ ogłoszeń 6-cio łamowy, za tekstem 10-cio łamowy. Administracja zastrzega sobie prawo zmiany terminu druku ogłoszeń.

Wydawca „Kurjer Wileński“ S-ka z ogr. odp. — Druk. „Znicz“, Wilno, ul. Ś-to Jańska 1, telefon 3-40. — Redaktor odpowiedzialny Antoni Wiszniewski

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ ZWIĄZKU STRZELECKIEGO OKRĘG WILNO.

Obywatele!

W grudniu 1929 roku liczne zebranie przedstawicieli społeczeństwa Wileńskiego założyło Towarzystwo Przyjaciół Związku Strzeleckiego.

Związek Strzelecki uważa siebie za spadkobiercę idei Związku Strzeleckiego założonego przez Marszałka Piłsudskiego przed wojną. Jak tamten postawił sobie za cel wywalczenie Narodowi niepodległego bytu państwowego, tak dzisiejszy Związek Strzelecki stawia sobie za cel pomnożenie sił narodu dla obrony Ojczyzny.

Naród cały zrozumieć musi, że jego wolność i niepodległość, cała jego przyszłość, jest w rękach wszystkich obywateli i że nie wystarczy w chwili potrzeby i niebezpieczeństwa walczyć i zginąć choćby po bohatersku. Cały naród zrozumieć musi, że tylko pracą codzienną, przysparzaniem dobrobytu i siły, buduje się potęgę Państwa, które silne i mocne nie potrzebowałoby się lękać swoich wrogich sąsiadów. Jeśli nie chcesz wojny staraj się być silny. W czasach, w których żyjemy, nawet najlepsza armja nie zabezpieczy sama całości naszych granic. Państwo, zwłaszcza tak zagrożone jak Polska, skutecznie obronić może tylko zbiorowy wysiłek wszystkich obywateli w myśl hasła: „Każdy żołnierz obywatelem, a każdy obywatel żołnierzem".

To przygotowanie obywatela żołnierza, jego wychowanie moralne i przygotowanie fizyczne prowadzi Związek Strzelecki przez:

a) wyrabianie zrozumienia, że odpowiedzialność za bezpieczeństwo Państwa spoczywa nietylko na barkach czynników, które za to bezpieczeństwo są ustawowo odpowiedzialne, lecz na barkach każdego obywatela Polski;

b) rozbudzenie świadomości, że każdy obywatel spełniając swój najwyższy obowiązek przez wzięcie udziału w obronie Państwa, broni również swoich praw i interesów, jakiemi są zdobycze polityczne i społeczne, które w Polsce uzyskał i na drodze ustawodawczej uzyskać zamierza;

c) prowadzenie wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego, które na wypadek wojny umożliwi całemu ogółowi narodu przyjęcie udziału w obronie Państwa, zarówno w służbie frontowej, jakoteż w służbie pomocniczej.

Praca Związku Strzeleckiego zmierza do takich wyników, któreby zezwoliły odciążyć budżet państwowy od wydatków na utrzymanie licznej armji czynnej, umożliwiając Państwu poczynienie oszczędności przez skrócenie służby dla poborowych, którzy przeszli kurs przysposobienia wojskowego w Związku Strzeleckim, zaliczając im ten czas, jako czas służby w armji, a także zwolnienie rezerwistów, którzy pracują w przysposobieniu wojskowem od ćwiczeń rezerwy. W pracy nad zrealizowaniem tych haseł i celów ma przyjść z pomocą Związkowi Strzeleckiemu — Towarzystwo Przyjaciół Związku Strzeleckiego przez:

a) udzielenie Związkowi Strzeleckiemu oparcia moralnego i pomocy materjalnej. W pierwszym rzędzie przez zwrócenie uwagi ogółu społeczeństwa na wysoką wartość jaką dla obrony Ojczyzny przedstawia Związek Strzelecki;

b) poparcie materjalne poczynań Związku Strzeleckiego dla postawienia na odpowiedniej stopie wyszkolenia oddziałów, przez udzielenie pomocy w budowie domów strzeleckich, strzelnic, boisk, zaopatrzenia w broń, sprzęt, umundurowanie i t. p.;

c) pomoc w życiu kulturalnem strzelca, pomoc w wychowaniu moralnem, przez zakładanie bibljotek, czytelni, świetlic, kursów, wydawanie książek, broszur i t. p.

Towarzystwo wychodzi z założenia, że strzelec nie będzie ani lepszym ani gorszym, tylko takim, jakim go będzie chciało widzieć i mieć społeczeństwo, że strzelec, aby spełnić swoje zadanie państwowe, musi być mocno i głęboko wrośnięty w społeczeństwo. Nastąpi to wówczas, gdy społeczeństwo zainteresuje się strzelcem jako jednostką i jako organizacją, gdy wpływać będzie na kierunek prowadzonej pracy, gdy okaże mu troskę i zaufanie i gdy uważać będzie Związek Strzelecki, za jeden ze swych warsztatów pracy Państwa. Współpraca Towarzystwa ze Zw. Strzeleckim doprowadzi do tego, że każda jednostka organizacyjna Zw. Strzeleckiego zatętni wzmożoną pracą nad wychowaniem pełnowartościowego obywatela, do którego sumienia i rozumu nie będą miały dostępu hasła wywrotowe i antypaństwowe.

Z uwagi na powyższe, Zarząd Okręgowy Towarzystwa Przyjaciół Zw. Strzeleckiego w Wilnie zwraca się do wszystkich obywateli, którym dobro Rzeczypospolitej i zwiększenie obronności Państwa leży na sercu o zapisywanie się na członków Towarzystwa.

Zarząd Okręgowy Towarzystwa wierzy, że Obywatele Ziemi Wileńskiej, którzy w latach walk o niepodległość Ojczyzny tyle dali przykładów najwyższej ofiarności, dobrej woli i poświęcenia, świadomi niebezpieczeństwa stale zagrażającego naszym granicom, w poczuciu konieczności współpracy całego narodu nad przygotowaniem obrony Państwa, nie pozostaną na boku, lecz solidarnie zgłoszą akces swój do Towarzystwa Przyjaciół Związku Strzeleckiego. Związek Strzelecki zaś czując za sobą całe społeczeństwo polskie, otoczony jego opieką moralną i materjalną, będzie miał zapewnioną normalną pracę, a postawiony w lepszych ogólnych warunkach, rok rocznie będzie mógł zwiększyć ilość obywateli przygotowanych do władania bronią na wypadek wojny i świadomych swych obowiązków w stosunku do społeczeństwa i Państwa.

Zgłoszenia członków przyjmuje Zarząd Okręgu Tow. Przyjaciół Związku Strzeleckiego—Wilno, Portowa 19 oraz Zarządy kół powiatowych i miejscowych.

Wilno, dnia 15 lutego 1930 r.

Prezes Zarządu: Gen. br. **ŻELIGOWSKI Lucjan**

I Viceprezes: **Ratyński Edward**
II Viceprezes: płk. dypl. **Furgalski Teodor**
Skarbnik: dyr. **Maculewicz Ludwik**
Sekretarz: mjr. **Kruk-Smigla**

CZŁONKOWIE ZARZĄDU:

P. P. Prof. dr. **Szymański Juljan** Marszałek Senatu
Dobosz Stanisław, Prezes Związku Naucz. Szkół Powszechn.
Fałkowski Kazimierz, Dyrektor P. K. P.
Gieczewicz Hipolit, Prezes Związku Ziemian
Ks. dr. **Herget** Dziekan K. O. P.
Kirtiklisowa Janina, Prezeska Zw. Pracy Ob. Kobiet
Dr. **Kopeć Witold**, Prezes Rady Opiek. Kres.
Inż. **Makowski Czesław**. Dyrektor Tow. Org. i Kół Roln.
Gen. **Mokrzecki Stefan**
Muzyczka Ludwik, Komendant podokręgu Wileńskiego Zw. Strzel.
Pogorzelski Stefan, Kurator Okręg. Szkol. Wil.
Sławiński Kazimierz, prof. U. S. B.
Szydłowski Marjan, Dyrektor P. A. T.
Wilczewska Helena, Prezeska P. Ż. P.
Wiśniewski Stefan, Naczelnik Wydziału U. W.
Prof. **Zawadzki Władysław**, Prezes Izby Przemysł. Handl.
Żuchowicz Karol, Prezes Dyr. Poczt i Telegr.

PRACA ZWIĄZKU STRZELECKIEGO W ŚWIETLE CYFR.

Związek Strzelecki w Polsce dąży do wychowania obywatela-żołnierza dla dobra Rzeczypospolitej.

Dla zrealizowania tego celu prowadzi prace podzielone na 3 działy wzajem się uzupełniające i zazębiające. Są niemi:

1) przysposobienie wojskowe, 2) wychowanie fizyczne i 3) wychowanie obywatelskie.

Z zestawień statystycznych Państwowego Urzędu W. F. i P. W. wynika, że udział Związku Strzeleckiego w pracach przysposobienia wojskowego równa się liczbie ćwiczących w przysposobieniu wojskowem członków Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej, Sokoła, Straży Pożarowych, Związku Młodzieży Wiejskiej oraz Harcerstwa, razem wziętych.

W roku 1928/29 Kurs Wychowania Fizycznego ukończyło w Polsce 531 strzelców. W 139 marszach o trasie 3901 klm. brało udział 9873 uczestników; zorganizowano i brano udział w 302 zawodach sportowych nie licząc świąt p. w. gminnych, powiatowych oraz wojewódzkich. W powyższym terminie przeszkolono na kursach przeszło 230 narciarzy. Zorganizowano 157 zawodów okręgowych i obwodowych oraz 824 miejscowych strzeleckich, w których wzięło udział około 13850 zawodników, nie licząc strzelań na świętach p. w. i w. f.

W dziale wychowania obywatelskiego pracowało w okresie sprawozdawczym 781 osób na stanowiskach referentów wychowania obywatelskiego.

Kursów dla pracowników społeczno-oświatowych urządzono 11 i przeszkolono na nich 243 uczestników. Kursów dla analfabetów było 40 z 470 słuchaczami. Kursów w zakresie 7 kl. szkoły powszechnej prowadzono 19 dla 230 słuchaczy. Uniwersytetów powszechnych 4. W okresie sprawozdawczym zarejestrowanych było 231 bibljotek stałych oraz 11 wędrownych z ilością około 34944 książek. Organizacja prenumerowała około 700 różnych czasopism, nie licząc prenumeraty tygodnika „Strzelec". Odczytów i pogadanek wygłoszono około 35010, w tem pogadanek z nauk społecznych, higjeny, zagadnień obrony Państwa — około 16966. Wycieczek odbyło się 132. Świetlic strzeleckich było zarejestrowanych 539, w nich 263 kół amatorskich z 1248 przedstawieniami widowiskami, zabaw i wieczornic 1216, orkiestr dętych 32, mieszanych 8, chórów 70. Kin stałych 5, wędrownych 2. Obchodów narodowych 2686.

W dziale pracy kobiet dorobek przedstawia się w okresie sprawozdawczym następująco:

W zawodach strzeleckich brało udział 150 strzelczyń, w zawodach marszowych 355, w zawodach lekkoatletycznych 250, w grach sportowych 30, w zawodach łuczniczych 60, w zawodach pływackich 35, narciarskich 20 Na kursach p. w. i w. f. przeszkolono 197 strzelczyń, na obozach 266.

Egzamin sędziowski z gier sportowych złożyło 13, z lekkoatletyki 10 strzelczyń.

Podokręgowi Wileńskiemu Związku Strzeleckiego podlegają wszystkie powiaty województwa wileńskiego oraz dwa powiaty województwa nowogródzkiego.

Praca za rok ostatni przedstawia się następująco:

Cwiczeń i zajęć tygodniowych 744 godziny, co czyni 38.688 godzin w roku; świetlic urządzonych 128; bibljotek 34 z 4859 książkami; orkiestr 13; radjoodbiorników 13; pism prenumerowanych 224; odczytów 494; obchodów 269; słuchaczy na przedstawieniach i odczytach 45.798; zabaw tanecznych 651; kursów dla analfabetów oraz wyższych stopni 46 z 837 słuchaczami; kursów lotnych sportowych 36; kursów trzytygodniowych oświatowych dla Kierowników Swietlic 2 z 63 uczestnikami.

W zawodach marszowych o trasie 1.218 klm. brało udział 1.280 ludzi. Zdobyto 11 rekordów Związku Strzeleckiego w lekkiej atletyce w 116 zawodach strzeleckich lokalnych i zamiejscowych zdobyto znaczną ilość miejsc pierwszych i drugich.

Kursa narciarskie ukończyło 84 strzelców.

Wydawca „Kurjer Wileński" S-ka z ogr. odp. Zakłady Graficzne „ZNICZ", Wilno. Redaktor odpowiedzialny Antoni Wiszniewski